

KRESOWE WSPOMNIENIA.

*Ewa Popiel-Barczykowa
Warszawa*

Migawki ze Skałackiego dzieciństwa

Letnia niedziela przed wojną.

Wspomnienia z dzieciństwa, jak obrazki dobrze utrwalone w pamięci, łączą się często ze szkołą. Dla mnie - z dużym piętrowym, wielookiennym budynkiem przy głównej ulicy w Skałacie, która nazywała się Pańska, a później J. Piłsudskiego. W czasie trwania roku szkolnego od widoku tego właśnie budynku zaczynały się prawie wszystkie dni w naszej rodzinie, nawet niedziele.

Letni poranek. Przed szkołą zgromadziły się dzieci i młodzież szkolna z całego miasta. Wchodzimy na korytarz lub do jednej z klas na parterze, aby wysłuchać "egzorty" (czyli krótkiego objaśnienia przez katechetę aktualnej Ewangelii). W mojej pamięci pozostali dwaj księża: A. Romańczuk i J. Lisowski.

Po "egzorcie", ustawieni parami w zespołach klasowych (najpierw dziewczęta, za nimi chłopcy), udawaliśmy się pod opieką nauczycieli do kościoła na Mszę szkolną o godz. 9-tej. Przed wymarszem dołączali do nas spóźnialscy i kolumny rozrastały się.

Problem spóźnień istniał zawsze, niezależnie od pogody. Ale nie dla mnie i mojej siostry Dzikki, ponieważ mieszkaliśmy w pobliżu szkoły, a rodzice uczyli w niej i często miewali niedzielne dyżury. Zdarzało się, że któreś z nich miało obowiązek odprowadzić uczniów obrządku grecko-kat. do cerkwi.

W czasie świąt państwowych - 3-go Maja czy 11 Listopada lub na rozpoczęcie i zakończenie roku szkolnego, przed kolumną uczniów szły trzy starsze uczennice ze sztandarem szkolnym. Za nimi kroczyło grono nauczycielskie, a dopiero potem uczniowie.

Powrót z kościoła do szkoły na akademię 3 Maja 1938 (lub 1939) roku w Skałacie. Na czele uczennice ze sztandarem szkoły. Za nimi nauczycielki (od prawej): p. Iza Legocka - Kuhnowa (żona burmistrza i b. zaangażowany pracownik tajnego nauczania), p. Maria Turzańska, p. Maria Władyczko i nasza Ma- ma - Helena Popielowa.

Gdy minęliśmy duże ogrodzone siatką boisko szkolne, dalej szliśmy wzdłuż skweru, na którym tuż przed wojną wybudowano nowy gmach szkolny dla planowanego gimnazjum. (Nauka w pierwszej klasie miała się rozpocząć 1 września 1939 r.). Po przeciwnej stronie ulicy mijałyśmy dom, w którym mieszkałam. Nie był miejscem mego urodzenia, ale był DOMEM MEGO DZIECIŃSTWA. Urodziłam się w dzielnicy skałackiej zwanej Księżym Kątem, w kryzysowym roku 1929. Wkrótce po tym rodzice przenieśli się do centrum, bliżej szkoły, do jednej z okazalszych w mieście kamienicy pani Rotsteinowej. Do był piętrowy, prawie skanalizowany, co na tutejsze warunki było dużym osiągnięciem. Mieszkały w nim tylko trzy rodziny lokatorów. Na parterze my i państwo Melnykowie (Ukraińcy) z córką Sonią, naszą rówieśniczką i uczestniczką wspólnych zabaw na betonowej płycie zajmującej część podwórka. Na parterze mieściła się też kancelaria adwokacka dr Melnyka. Mieszkania na piętrze zajmowali: właścicielka ze swoją rodziną i państwo Krotkiewscy. Pani Irena uczyła w szkole żeńskiej razem z moją Mamą, a ich syn Jędrzek brał udział we wspólnych zabawach "na betonie".

W parterowym domu na podwórzu mieszkali państwo Schrenclowie (Żydzi), ze starszymi od nas córkami: Pepką i Dożką. Ich ojciec był drukarzem. Przychodziły do nas często, zwłaszcza w piątkowe wieczory, z prośbą o zapalenie (zapałkami) "żarówki" (czyli węgla drzewnego, ułożonego na podstawce pod odwróconym do góry przedziurawionym

dnem garnka). Na tej "zarówce" podgrzewały wodę w czajniku, gdyż w szabas nie można było wykonywać żadnej pracy, nawet zapalać ognia. Pani Schrenclowa opiekowała się podczas wakacji kwiatami w naszym domu. Zachowała się kartka pocztowa z 1937 r., pisaną przez nią do naszej Mamy do Delatyna, w której pyta: "Czy Pani skutkuje dobrze tamtejsze powietrze?" i donosi: "siostra moja wyszła za mąż co mi dużo czasu kosztowało" (i dlatego przesyła spóźnioną wiadomość). P. Schrenclowa wspaniale przyrządzała dla nas "karpia po żydowsku" na Wigilię i robiła nam często "ser zgłiwiły z kminkiem".

Za domem p. Rotsteinowej miało się zakład fotograficzny Brajera (Żyda) - głównego fotografa w tej części miasta. Obsługiwał wszystkie uroczystości prywatne i państwowe, u niego też robiło się fotografie do dokumentów.

Dalej była brama posesji handlarza zbożem p. Gelbtucha, który załatwiał też sprawy sprzedaży zboża przywożonego od naszej babci z Hałuszczyniec. Pan Gelbtuch miał śliczną córkę Sercię, która wzbudzała zainteresowanie naszych starszych kolegów.

Mijałyśmy następnie dom państwa Kindłów, których córki - nasze szkolne rówieśnice - Sydzia i Gizia bawiły się z nami często w ich albo naszym mieszkaniu. Zostały nam po nich tylko wspólne zdjęcia - nie przeżyły okupacji niemieckiej. Były w pochodzie Żydów skałackich prowadzonych w 1942 r. na cmentarz żydowski na rozstrzelanie.

Idąc dalej, mijałyśmy katolicki sklep spożywczy, gdzie pracująca u nas wtedy Antosia kupowała pieczywo i inne produkty, jakich nie dostarczała wieś. Lubiłyśmy tam chodzić, ponieważ właścicielka częstowała nas słodyczami. W tym sklepie kupowało się "na książeczkę" (na kredyt), rozliczaną przez rodziców co miesiąca.

Z ważniejszych obiektów miało się pocztę, gdzie często stał na schodkach "Głupi Kazio", którego dzieci bały się choć nie był agresywny. Podobno wcześniej był tu listonoszem, zwariował po napadzie rabunkowym i pobiciu go przez napastników.

Jednym z atrakcyjniejszych dla nas miejsc był sklepik z lodami i słodyczami pani Chilowej po przeciwnej stronie ulicy. Można było w nim kupić lód nawet w lecie, kiedy "kręciło się" domowe lody w maszynce. Ku naszej rozpaczy sklepik p. Chilowej został zburzony przy budowie gmachu gimnazjum.

Atrakcją zimową była ulica mijana przy studni, schodząca w dół do stawu. Stanowiła w zimie długi tor saneczkowy i narciarski, trochę niebezpieczny ale zawsze pełen młodzieży. Za studnią znajdował się piętrowy budynek dowództwa Baonu KOP, a po prawej stronie dom, w którym siostry zakonne prowadziły tzw. ochronkę. Chodziłyśmy tam na naukę sypania kwiatów przed świętem Bożego Ciała.

I już dochodziło się do skrzyżowania z ul. 3 Maja, czyli szosą łączącą Tarnopol z Grzymałowem. Mijało się księgarnię p. Grünfelda, gdzie sprzedawano także najnowocześniejsze zabawki. Obok był nowy sklep f-my "Bata", a dalej, w stronę dworca kolejowego (po przeciwnej stronie ulicy) najelegantszy sklep spożywczo-kolonialny rodziny Kosowskich.

Jeszcze przy wejściu w uliczkę prowadzącą schodkami na rynek, miało się usytuowany w piwnicy sklep owocowo-warzywny p. Picka, zapewniającego dostawę owoców południowych przez cały rok. Miał także w sklepie wędzone ryby, śledzie w beczce i tzw. bakalie. Dalej szło się do drukarni, a potem wzdłuż murów obronnych i baszt zamkowych z XVII wieku - skałackiej wizytówki przeszłości; na koniec ul. Zamkową do placu z kościołem i plebanią. Z tym terenem wiążą się wspomnienia silnie przeżywanych spektakli "teatralnych" (tzw. żywych obrazów) o tematyce religijnej, wystawianej w okresie postu, uroczystych procesji rezurekcyjnych lub na Boże Ciało. Z plebanią mile kojarzą mi się próby chóru kościelnego, prowadzone w czasie okupacji pod patronatem ks. Lisowskiego. Chórem dyrygował nasz starszy kolega, Jaś Daszkiewicz.

Po Mszy powrót, już bez szkolnej dyscypliny, kończył się przeważnie przed sklepikiem p. Chilowej.

Po niedzielnym obiedzie, w którym uczestniczył niekiedy ktoś z członków rodziny Mamy lub Ojca, odpoczynek a potem odprowadzanie cioci Nusi, siostry Mamy, nauczycielki w Starym Skałacie. Wtedy przechodziło się przez inną część miasteczka. Mijało się budynek starostwa i okazały gmach "Sokoła", zostawiając po przeciwnej stronie duży żydowski cmentarz. Przy betoniarni (gdzie przy naturalnym odsłonięciu skał trzeciorzędowych z pasma Miodoborów urządzono wytwórnię kręgów studziennych) była wspaniała zabawa. Biegałyśmy z psem przez tunele z ułożonych kręgów betonowych i zbierałyśmy białe muszelki, wtedy dziwne i tajemnicze, ale bardzo potem dla mnie ważne. Pasja zbierania skamieniałych szczątków zwierzęcych i praca nad ich poznanie stały się moim zawodem, uprawianym prawie przez 40 lat. Być może zaczęło się to właśnie w skałackiej betoniarni?

Obrazki z okresu wojny

3 MAJA 1940 ROKU. Rocznicą uchwalenia konstytucji była zawsze w Skałacie wielkim świętem państwowym i kościelnym. W czasie okupacji sowieckiej to święto zostało oczywiście zlikwidowane, ale większość społeczeństwa polskiego żyła nadal Polską, czekała na szybkie zakończenie wojny i powrót do dawnego życia.

3 Maja wyszłyśmy na ulicę i zobaczyłyśmy, że część okien, zwłaszcza szkoły i budynków dawnej administracji państwowej, oklejona była okolicznościowymi nalepkami. Radość duża choć krótka! Rękoma lokalnej milicji władze bardzo szybko zlikwidowały te dekoracje. Rozpoczęły się aresztowania osób, które teoretycznie mogły być w to zamieszane (przede wszystkim inteligencja i młodzież gimnazjalna). Aresztowano m. in. Ojca, który poza nauką szkolną prowadził w domu "Sokoła" kółka zainteresowań dla młodzieży, oraz ciocię Nusię. Ojca zamknięto w piwnicach NKWD, czyli w domu p. Rotsteinowej, w którym mieszkaliśmy do końca 1939 r. i skąd nas Sowieci wyrzucili. (Potem mieszkaliśmy u państwa Jarmolików, Ukraińców, znów na Księzym Kącie).

W międzyczasie przyszło do domu kilku enkawudzystów, nastraszyli Mamę i nas karabinami z nasadzonymi bagnietami, i zaczęli przeprowadzać rewizję w "stylu sowieckim". Polegało to na wyrzuceniu wszystkiego z szaf i półek na podłogę i deptaniu po ubraniach i książkach. Szukali długo, kilka godzin, a najgorliwiej tam gdzie była żywność. Ja z siostrą i babcią siedziałyśmy na kanapie, a przed nami stał cały czas "bojec" z karabinem. Po kilku godzinach naszego strachu, napięcia i zdenerwowania, wynieśli się nic nie znajdując. Było to jednak dla nas przerażające przeżycie.

Po ochłonięciu Mama zabrała się do porządkowania rozrzuconych rzeczy, a przy okazji postanowiła zmienić papiery wyścielające półki w szafach. Gdy zdjęła stary papier ... oczom naszym ukazało się kilka identycznych nalepek, jakimi oklejone były okna i mury szkoły. Trzeba było mieć dużo szczęścia i opieki Opatrzności, by enkawudziści ich nie znaleźli. Uratowało to Ojca przed procesem i wywiezieniem do łagru.

Ojciec w dalszym ciągu nie wracał do domu. Po południu, mimo że bardzo się bałam, poszłam pod siedzibę NKWD, (który był kiedyś domem rodzinnym) i stałam wystraszona w grupie innych ludzi, głównie naszych znajomych, pragnąc wypatrzeć Ojca w piwnicach. Niestety nie udało mi się go zobaczyć.

Wieczorem, czy też na drugi dzień rano, Ojciec wrócił i opowiedział nam jak przeżywał ten czas w tłumie innych aresztowanych, we własnej piwnicy i na własnym węglu. Nie był przesłuchiwany, spisano tylko jego personalia. Przesłuchiwanie obejmowało osoby, u których w czasie rewizji znaleziono nalepki. Zwolniono też ciocię Nusię, ale nie wszystkim tak się udało.

Po powitaniach i radości z powrotu, Ojciec poszedł na strych i przyniósł stamtąd ... jeszcze dwie paczki tych nalepek. Po prostu zamaryłyśmy z wrażenia. Rodzice szybko nalepki spalili, żeby nie korcić licha i nie narażać rodziny.

Spotkany po wojnie znajomy, też syn nauczyciela, dobrze pamiętał ten dzień, ponieważ był starszy ode mnie. Powiedział mi, że znaleziono wówczas nalepki w kilku domach, i kilka osób ze Skałatu zostało z tego powodu wywiezionych na Sybir, a mianowicie: Józek Jakubowicz, Kazik Lenartowicz, Piotr Wasyliszyn i in.

A MOŻE SPRAWIEDLIWI? To było lato, pamiętam że byliśmy w letnich sukienkach. Niemcy zaczęli przesiedlać Żydów z miasta i okolicznych wsi do skałackiego getta, zamkniętego na małym obszarze między rzeką Gniłką a rynkiem. Część Żydów, zwłaszcza inteligencja żydowska, wiedząc czym grozi zamknięcie w getcie, starała się uciec zagranicę. Ale przedtem musieli znaleźć zaufanych Polaków, u których mogliby się ukryć.

Taka sytuacja zdarzyła się nam. Po kolejnym wyrzuceniu z mieszkania (tym razem przez Niemców), wprowadziliśmy się do byłego domu opieki społecznej, zwanego "domem dziadów". Pewnego dnia w jednym z pokoi zamieszkały Krysia i Grażynka, córki doktorostwa Fayów. (On był lekarzem "fizykiem" w Kasie Chorych, ona internistką w szpitalu powiatowym u dr Strzałkowskiego). Dziewczynki były w naszym wieku, ale wystraszone nie chciały się bawić z nami na podwórku i przesiadywały w mieszkaniu. Kontaktowałyśmy się głównie w kuchni, gdzie babcia przygotowywała im posiłki. Kiedy wzmożone kontrole niemieckie i ukraińskie zaczęły wyłapywać Żydów na podstawie donosów, Ojciec zdecydował o przewiezieniu dziewczynek w bardziej bezpieczne miejsce. Miała nim być wieś, z której Żydów już wysiedlono a dziewczynek ludzie nie znali, wiedzieli natomiast że w naszej rodzinie są dwie córki. Ojciec wywiózł je do drugiej siostry Mamy - Zosi, mieszkającej wtedy w Hałuszczynicach w domu naszej babci. Jechał furmanką w dzień z dwoma żydowskimi dziewczynkami, które większość mieszkańców Skałatu znała. Przejeżdżał przez całe prawie miasto od starostwa zaczynając, obok siedziby gestapo i żandarmerii, przez Mańtiawę, a potem wsie Kołodziejówkę i Żerebki, aż do Hałuszczyniec. Wielu ludzi wiedziało, że Ojciec wiezie żydowskie dzieci, ale nikt go nie wydał, ani nie doniósł później żandarmerii. Myślę, że panowała w tym czasie w społeczeństwie skałackim wielka solidarność. Uważano, że jeśli nauczyciel robi to, co uważa za słuszne, to nie należy mu przeszkadzać.

W Hałuszczynicach dziewczynki przebywały tylko kilka dni, ponieważ w tym samym domu kwaterowali niemieccy oficerowie. Zostały wywiezione do Starego Skałatu, ale nie wiem do kogo. Krysia i Grażynka zniknęły nam z oczu na kilkanaście lat.

Ale to jeszcze nie koniec historii. Podczas zamykania getta i kolejnej wielkiej nagonki na Żydów, przyszli do naszego domu rodzice dziewczynek. Ukrywanie państwa Fayów nie było takie proste jak ich córek. Na cały dzień byli "wścielani" do łóżek rodziców, tzn. przykrywani pościelą i kapą, żeby przez otwarte okna nie było widać dodatkowych osób w mieszkaniu. Potem i oni wyjechali do Starego Skałatu, gdzie ukrywali się u różnych ludzi. Doktora Faya Niemcy znaleźli na podstawie donosu w piecu chlebowym, i tam zginął. Dla nas - dzieci, były to bardzo mocne przeżycia, zwłaszcza to "wścielanie" do łóżek i konieczność zachowania tajemnicy. Ale wytrzymałyśmy!

Podczas zjazdu Pol. Tow. Geologicznego w 1957 r. spotkałam Krysę w parku zdrojowym w Polanicy. Mimo upływu lat rozpoznałyśmy się. Od niej dowiedziałam się, że we trójkę z matką przeżyły wojnę. Krysia ukończyła medycynę i pracowała w szpitalu. Zmieniła nazwisko na "bardziej polskie".

DEZERTER. Wiosną 1944 roku (jeszcze wszędzie leżał biały śnieg), zbliżała się od wschodu do Skałatu sowiecka ofensywa. Docierała już do granic miasta. Od kilku dni trwał ostrzał artyleryjski, w końcu słychać było broń maszynową i hałas nadjeżdżających czołgów. Od kilku więc dni siedzieliśmy w piwnicy sąsiadów państwa Zalewskich, ponieważ ich dom miał piwnice solidniejsze. Było tam kilka rodzin z dziećmi i wszyscy uważali, że tu będzie najbezpieczniej. Na centralnym miejscu umieszczono łóżko, w którym leżał sparaliżowany

syn gospodarzy. My zajęliśmy kąty z drzewem i węglem. Bój o miasto trwał 11 dni, Sowieci zdobywali je kilkakrotnie.

Kanonada wreszcie ustała, zrobiło się cicho i dorośli wyszli na podwórze. Stwierdzili, że w sadzie leżą zabici i trzeba ich jakoś pogrzebać. Nagle wszyscy wrócili z powrotem, gdyż do piwnicy "wpadł" młody żołnierz sowiecki. Prerażony rozglądał się błędnym wzrokiem po ciemnym wnętrzu, a po chwili wskoczył do łóżka sparaliżowanego i zasłonił się pościelą. W tym momencie wbiegli do piwnicy żołnierze z karabinami krzyżąc, że znajduje się w niej dezterter i musimy go wydać. Jeśli go nie znajdą, będą strzelali do nas. Nastąpiła głęboka cisza, nikt prawie nie oddychał. I nagle w tej ciemności zaczęły padać nad naszymi głowami pociski, kule odbijały się od ścian, a nam wydawało się że trwa to wieki. Żołnierze zapalili latarki i po chwili wyciągnęli zbiega z łóżka. On opierał się i błagał "nie strielajcie zdieś". Wywlekli go po schodach i po chwili odezwała się "pepesza". Zastrzelili go w sadzie i poszli dalej do zdobytego już miasta.

Wróciliśmy do domu. Mieszkanie zastaliśmy splądrowane, a na podłodze leżały porozrzucane ubrania, pościel, książki i żywność. Obraz przypominał majową rewizję. Różnica polegała na obecności śladów świadomego wandalizmu. "Kupy" znajdowały się wszędzie, nawet na płycie i strunach otwartego (czyżby specjalnie w tym celu ?) fortepianu. W ogrodzie zastaliśmy zniszczony czołg i powalone drzewa. Bałyśmy się patrzeć przez okno, bo w sąsiednim sadzie leżał młody sowiecki żołnierz z wyciągniętą do góry ręką bez "pepeszy". Nie można było pogrzebać poległych, bo znów przyszedł mróz, zwłoki przymarzły do ziemi, a w nocy przysypał je śnieg. Ale ta wyciągnięta ręka była wciąż widoczna, zwłaszcza z naszych łóżek stojących przy oknie.

W Skałacie po 50 latach ...

W ramach zorganizowanej wycieczki na Podole - pojechaliśmy do Skałatu. We wrześniową sobotę 1993 r. wjechaliśmy do miasta od strony wsi Zarubińce, czyli szosą biegnącą z Grzymałowa do Tarnopola. Minęliśmy cmentarz wyglądający na zadbane i zobaczyliśmy przy bramie nowousypany kopiec "siczowych strilców", ozdobiony niebiesko-żółtymi chorągiewkami. Przypominał mi inny, usypany bardzo dawno temu na Mańtiawie dla uczczenia śmierci kapłana. Tamtego już nie znaleźliśmy.

Dalej zobaczyliśmy ładnie odnowioną cerkiew grecko-kat. Resztki ocalałych kamienic przy skrzyżowaniu dawnej ul. 3 Maja i Piłsudskiego wyglądały szaro i smutno; odrapane, nie było w nich sklepów. Nie było też nigdzie chodników, tylko asfaltowa szosa. Nie istniało dawne centrum rynkowo-handlowe. Nie było księgarni p. Grünfelda, ani sklepu "Bata", ani uliczki ze sklepem p. Picka. Brak wieży kościelnej na horyzoncie, widocznej niegdyś już z tego skrzyżowania, obudził we mnie wątpliwości czy trafiliśmy do Skałatu. Sytuację uratowały baszty zamkowe, pozostałość z dawnego dobrego dla miasta czasu. Zostały chyba odnowione i stały jakby bliżej siebie. A pośród nich pomnik ... Bohdana Chmielnickiego. W budynku dawnej drukarni mieści się internat dla młodzieży szkolnej z okolicznych wsi. W miejscu dawnego centrum handlowego - duży sklep, chyba dom towarowy, a na placu po zniszczonym kościele pozostał jedynie budynek plebanii. Jest w nim czynna kaplica, w której gromadzą się na nabożeństwa katolicy. Na placu widziałam trochę materiałów budowlanych na nowy kościół.

Na dawną ul. Piłsudskiego trafiliśmy szybko. Minęliśmy dawną ochronkę (obecnie apteka), stary gmach poczty z szerokimi schodami (już bez "głupiego Kazia") i ulicę schodzącą w dół do stawu. Nie ma też studni przy dawnym torze saneczkowym, a w starej siedzibie komendy Baonu KOP mieści się szkoła muzyczna. Wreszcie budynki szkolne. Przed nowym stoi pomnik Tarasa Szewczenki, ten starszy, ładnie odnowiony, wydał się teraz mniejszy. Weszłam na korytarz i do szatni. W czasie drugiego pobytu w Skałacie (w 1994 r.)

zostałam zaproszona do zwiedzenia klas przez jednego z najstarszych nauczycieli tej szkoły (pracował już 25 lat). Pytał, co się w szkole zmieniło gdy usłyszał, że uczyłam się tu przed 50 laty, a nawet wcześniej. Sporo. Nie ma pieców w klasach, nie ma figury Matki Boskiej we wnęce ściany klatki schodowej między parterem a piętrem. Nie bardzo wierzył gdy mówiłam, że codziennie o 8-mej dzień zaczynał się tu wspólną modlitwą przed rozpoczęciem lekcji w klasach. Nie zmieniły się tylko “sławojki”.

Na koniec poszliśmy do domu p. Rotsteinowej. Stoi i rośnie przed nim ten sam stary kasztan. (Od ulicy dorobiono daszek nad schodami wejściowymi). Na podwórzu znalazłam nasz stary “beton”. Oglądałam wszystko z dużym napięciem, trochę rozdygotana. Dom należy obecnie do zespołu szkolnego, pomieszczenia zamieniono na sale lekcyjne.

Nie ma też domów naszych sąsiadów. Na ich miejscu - mały cmentarzyk żołnierzy sowieckich z pamiątkową płytą. Budynek starostwa zamieniono na oddział szpitala, a okazały budynek “Sokoła” ma na parterze okna zabite deskami. Nie ma w nim kina. Nie zmienił się dom państwa Zalewskich, z pamiętną solidną piwnicą. A na Księżym Kącie stoi odnowiony dom państwa Jarmolików. Spotkana kobieta powiedziała o właścicielach: “wsi pomierły”. Na terenie dawnego cmentarza żydowskiego znajduje się duże boisko sportowe, z pustym cokołem z napisem “Lenin”.

Wrażenia po 50 latach nieobecności raczej przykre. Miasto straciło swoją pozycję i znaczenie przez przeniesienie urzędów administracji do Podwołoczysk. Zlikwidowanie dużej części miasta przez wyburzenie dzielnicy centralno-handlowej oraz zlikwidowanie kościoła, którego charakterystyczna sylwetka stanowiła istotny element miasta - wywołuje wrażenie zaniedbanej, sennej miejscowości. Skałat bardziej przypomina teraz wieś niż miasto. Trudno byłoby tu dziś wrócić i żyć w tych warunkach, ale odwiedzić te miejsca raz jeszcze - chciałabym bardzo.

Bolesław Łukasiewicz
Szczecin
(Wybór i red. I. Kotowicz)

Wspomnienia ze Stryjówki

Cz. IX.

W początkach 1943 r. zjawił się w Stryjówce zbiegły z niewoli niemieckiej sowiecki żołnierz, Gruzin Grisza Kryczewski. Nazywałem go Grzesiem. Szybko opanował język polski, garnął się do Polaków i zdecydowanie potępiał napady banderowców. Ukrywał się we wsi u różnych ludzi, ale najchętniej przebywał u moich dziadków. Zaprzyjaźniliśmy się. W wielkim stogu słomy urządziliśmy doskonale zamaskowaną kryjówkę dla kilku osób i nocowaliśmy tam często pod czujną strażą psa Bojana. Znacznie później dowiedziałem się od siostry, że Grisza okazał się oficerem sowieckich służb bezpieczeństwa i bardzo aktywnie uczestniczył w walce z banderowcami. W jednej z takich akcji został ranny i stracił obie nogi. Nie znam jego dalszych losów.

W 1943 r. coraz częściej słyszało się o napadach banderowskich w naszej okolicy. W pobliskich Czaharach napadnięto na dwóch braci Biłousów, którzy bronili się dłuży czas na strychu. Rozwścieczeni tym Ukraińcy podpalili dom, i Biłousowie spalili się w nim żywcem.

W Drańczy Polskiej obok Brodów wymordowano w maju całą wieś. Ukrainka z sąsiedniej Kopani miała w Drańczy zamężną córkę i wieczorem ostrzegła ją przed planowanym napadem. Ludzie, którzy ostrzeżeniu dali wiarę, w porę ze wsi uciekli.

Pozostałych wymordowano, łącznie z Ukrainką z Kopa- ni. Banderowcy nie pobłazali “zdrajcom”.

W Podkamieniu wymordowano w klasztorze kilkaset osób, przy całkowicie biernej postawie niemieckiego garnizonu w mieście¹.

W Berezowicy Małej koło Zbaraża wymordowano ludność polską (131 osób), a wieś spalono².

W Jazłowcu miał parafię brat mojej babki Ewy - ks. dziekan Andrzej Kraśnicki. Był wielkim patriotą i wiele dobrego czynił dla swoich parafian. Z tej racji był znienawidzony przez ukraińskich nacjonalistów, którzy często mu grozili. Dla bezpieczeństwa nocował w klasztorze jazłowieckim SS. Niepokalanek. Aby go uchronić, władze kościelne postanowiły przenieść ks. Andrzeja do Lwowa. W przeddzień wyjazdu, przygotowując parafię do przekazania, ksiądz nocował na plebanii. Był zapewne śledzony, ponieważ tej właśnie nocy dokonano na niego napadu i zamordowano. Był torturowany i zginął w męczarniach.

Podaję tylko kilka przykładów z ogromnej liczby przypadków banderowskiego ludobójstwa. Dopóki żyje jeszcze pamięć tamtych strasznych dni i żyją bezpośredni świadkowie wydarzeń, zawodowi historycy powinni spieszenie zabrać się do szczegółowego udokumentowania tego tematu.

W samej Stryjówce było względnie spokojnie aż do tragicznego dnia 11 listopada. Późnym wieczorem wtargnęła do wsi duża grupa banderowców i zaatakowała równocześnie 11 domów położonych w różnych częściach wsi. Były to domy: Michała Antochowa, Tadeusza Badacha, Franciszka Ciastonia, Franciszka Głowińskiego, Marcina Kominka, Franciszka Niewidziajło, Jana Robaka, Pawła Robaka, Janiny Szarej, Jana Sokoła i ks. Chryzostoma Szczerbińskiego.

Zamordowani zostali tej nocy: Paweł Robak, Michał Antochów i Jan Sokół, a ranni - Marcin Kominek, Janina Szara, Maria Niewidziajło i jej córka Danusia. Dodam, że ta mała dziewczynka zachowała się niezwykle dzielnie i mimo rannej głowy, nie zdradziła płaczem obecności w domu. Siedziała cichutko aż do zakończenia napadu.

Osoby poszukiwane przez banderowców w pozostałych domach były nieobecne, i dlatego ocalały. Straszna to była noc!

Władysława Lewczuk wspomina:

Gdy przyszedli zabić Ojca (Jana Robaka), wtargnęli do sieni wyłamując drzwi wejściowe. Dziadek mój wyszedł pytając: *Jaka to cholera tłucze się po nocy? A banderowiec na to: Jak wam nic nie robimy, to siedźcie cicho!* Szukali Ojca przyświecając sobie latarkami, ale Ojca w domu nie było. Przed dwoma godzinami wyprowadził go stąd szkolny kolega, Ukrainiec Michał Kuszłak, i obaj ukryli się u sąsiada Jana Sowy. (Kuszłak nie powiedział Ojcu dlaczego to robi). U naszego sąsiada Franciszka Głabińskiego banderowcy wyrabali okiennice, a żona z dziećmi przytrzymała od wewnątrz drzwi, i wszyscy krzyczeli w niebogłoso. Głowińskiego w domu nie było, miał dyżur na stacji kolejowej. Byliśmy tak wystraszeni, że dopiero po godzinie odważyliśmy się wyjść na dwór. Patrzyliśmy na drogę zza węgła domu, a noc była jasna, księżycowa. Była może godzina dziesiąta - drogą do Maksymówki szła duża grupa banderowców. Mój Ojciec, Kuszłak i Sowa także widzieli ten pochód z podwórka Sowy.

Relacja **Marii Niewidziajło**, żony Szymona:

O dziesiątej wieczorem usłyszeliśmy trzy wystrzały, które - jak się dziś domyślamy -

¹ Edwar Gross: “Tragedia Podola”, Warszawa 1995.

² Władysław Kubów: “Polacy i Ukraińcy w Berezowicy Małej koło Zbaraża”. Wyd. II Warszawa 1994.

były sygnałem do napadu w Stryjówce. Teść mój wybiegł z Danusią przed drzwi domu i zobaczył grupę mężczyzn zbiegających z pagórka od strony domu Kominków. Ledwie zdążył skryć się z dzieckiem w sieni i zaryglować wejście, banderowcy byli już przy drzwiach. Jeden z nich szeptem polecił drugiemu: "Howory po polsky!" - Usłyszeliśmy najpierw pukanie, potem wołanie: *Panie Niewidziajto, proszę otworzyć!*. Nikt z nas nie odpowiadał, więc kilkakrotnie powtórzyli wezwanie. W tym czasie Zdzisława, siostra Mietka z Matką i teść z żoną weszli na strych, a ja z Danusią uciekłyśmy na lewą stronę domu do naszego mieszkania, ponieważ drabina na strych była już wciągnięta a włącz zamknięty. Pobiegłam do okna w kuchni, otworzyłam je, i już chciałam wyskoczyć z dzieckiem do sadku by uciec do stryja Bartka, gdy zza rogu wyrzwał mężczyzna i skierował w moją stronę światło latarki. Cofnęłam się szybko i stanęłam z dzieckiem między kuchnią a pokojem. Okno było ciągle otwarte, ale nikt przez nie wchodził.

Po chwili Ukraińcy wyważyli drzwi wejściowe do sieni, i zaczęli strzelać w kierunku strychu oraz przez zamknięte drzwi do naszego pokoju. Jeden z nich wyszedł następnie z sieni na dwór, rozbił szybę w oknie w pobliżu drzwi, i strzelał przez nie do naszego pokoju; a tak się ustawił, że trafiał przez pokój do kuchni. Zdążyliśmy usiąść w kuchni przy drzwiach. Strzelanina trwała kilka minut, sypał się tynk, spadały z półek naczynia. W pewnym momencie Danusia została ranna w główkę, a z mego ramienia i skroni pociekła krew. Ranił mnie odłamek, który utkwiał w skroni. (Pozostał do dziś wyczuwalny przy dotyku).

Strzelanina ucichła, gdy bandyci posłyszeli turkot wozu na moście. Myśleli pewnie że to odsiecz i uciekli. A to wracał ze Zbaraża ekonom Małachowskich. Po pewnym czasie usłyszeliśmy głośny lament kobiecy. Mówiono, że była to żona zamordowanego Jana Sokoła. Tej nocy zginęli jeszcze Paweł Robak i Michał Antochów. Janinę Szarą i Marcina Kominka raniono.

Cisza koło naszego domu trwała jeszcze jakiś czas. Domownicy zeszli ze strychu i udaliśmy się wszyscy do stryja Bartka. Ledwie się ich dobudziliśmy. Spali twardo i nic nie słyszeli.

Następnego dnia pojechaliśmy z Danusią do lekarza w Zbarażu. Był to Ukrainiec Hawryluk, kolega gimnazjalny brata męża Michała. Od tej strasznej nocy nie spałyśmy już w domu, stale zmieniając miejsce noclegu aż do ponownego wkroczenia Sowieców do Stryjówki w 1944 roku.

Antoś Sokół, mój szkolny kolega, opowiada:

W tym dniu ktoś zapukał wieczorem do drzwi i zapytał po polsku o Karola (starszego brata Antosia). Matka myślała, że to któryś z kolegów i otworzyła drzwi. Ten "ktoś" wpadł do domu; Mama posłyszała wystrzał, zorientowała się natychmiast, że to banderowcy i zaczęła uciekać. Któryś z bandytów za nią wystrzelił, ale nikt nie gonił. Biegła z myślą ostrzeżenia Karola. U Marcina Kominka go nie było. Powiadomiła go więc tylko co się stało, i Marcin wyskoczył przez okno. Banderowcy byli już blisko i ranili go w rękę. Od Marcina pobiegła Mama do Heli (Ciastoniowej, zameżnej siostry Antosia) i obie ukryły się w stajni sąsiada, Ukraińca Turańskiego. Karol był u Heli, i obaj ze szwagrem uciekli zaraz do Wałachówki. Stary Turański wszedł do stajni, zobaczył kobiety i ukrył je w swoim mieszkaniu. Gdy strzały ucichły, młody Turański poszedł z Mamą do naszego domu. Drzwi zastali otwarte, świeciła się lampa, a Ojciec leżał na podłodze z postrzeloną głową.

Czapla z Miszeckim byli wtedy u Badacha. Gdy usłyszeli we wsi strzelaninę, uciekali przez podwórze plebanii, dzięki czemu ocalał ks. Szczerbiński. Ukrył się zaraz na strychu i wciągnął za sobą drabinę. A gdy nadeszli banderowcy pytając o proboszcza, gospodyni Górecka powiedziała, że pojechał z Panem Bogiem do chorego w Zarudziu.

Moja cioteczna siostra JANKA SZARA była tego wieczora w domu sama, ponieważ jej bracia Czesław i Tadzik ukrywali się u Traczów w Hrycowcach. Gdy usłyszała, że

banderowcy wyłamują drzwi wejściowe, porwała jakiś kij i zamknęła na klucz drzwi do pokoju. Ciotka Janki - Honorata, uciekła przez okno w alkierzu na pierwszy łoskot przy drzwiach.

W rogu pokoju stała szafa, z jednej jej strony znajdowało się okno, z drugiej drzwi, które Janka zamknęła, i do których napastnicy zaczęli się dobijać. Inni próbowali wejść przez okno, ale tych Janka odpędzała kijem. Zaczęli wtedy przez okno strzelać i naraz dziewczyna poczuła silne uderzenie. Ogarnęło ją wielkie osłabienie, a lewa ręka stała się bezwładna. Zaprzestała obrony i powlokła się do alkierza, gdzie zobaczyła otwarte przez ciotkę okno. Ponieważ bandyci domu nie otoczyli, wydostała się przez nie z wielkim trudem i powlokła do położonej tuż obok chaty Rokickich (rodziny ukraińskiej). Na pukanie nikt Jance nie odpowiedział, choć nie ulega wątpliwości że musieli słyszeć jej prośbę o ratunek, a już z pewnością strzały, których naliczyła od chwili ucieczki z domu około trzydziestu. Przy stoгу Rokickich Janka upadła i straciła przytomność. Ocućiło ją zimno. Zrezygnowana powlokła się z powrotem do domu, położyła na łóżku, i znów straciła przytomność.

W pobliskiej Wałachówce usłyszano strzały. Przybiegła stamtąd przerażona matka Janki i dopiero wtedy opatrzyła jej krwawiącą rękę. Naraz kobiety usłyszały nadbiegającą grupę ludzi i jakby chrzęst broni. Przerażona matka Janki zawołała: *uciekajmy na strych!* Ale Jance było już wszystko obojętne, nie chciała nigdzie uciekać i matka została przy niej.

Do mieszkania wpadli ukrywający się w Hrycowcach obaj bracia Janki, Edward Antochów i inni. Natychmiast zaprzęgli do wozu konie i odwieźli Jankę do krewnych w Kretowcach, (pracujących w tamtejszej szkole) państwa Trzecińskich. I dopiero tam opatrzono jej należycie zranioną rękę.

Kretowce były zamieszkałe przez Polaków, a więc bezpieczne. Rankiem następnego dnia zjawiła się jednak policja ukraińska z Maksymówki. Ukraińcy zajrzeli przez drzwi do pomieszczenia, w którym leżała Janka. Zdziorna jak zawsze, zawołała natychmiast: *Nie patrz, nie patrz, ja i tak nie umrę!* Na szczęście policja w czysto polskiej wsi, z dobrze zorganizowaną samoobroną, nie odważył się na jakieś drastyczne kroki.

Następnego dnia odwieziono Jankę do szpitala w Zbarażu, gdzie lekarz (Ukrainiec) trzymał ją na noszach w korytarzu aż do nocy. Nie przeprowadzono też żadnego zabiegu chirurgicznego. Ponieważ telefonowano ze Stryjówki do szpitala co pewien czas z pytaniem, czy Janka jeszcze żyje - rodzina postanowiła zabrać ją czym prędzej ze Zbaraża i odwieść do szpitala w Tarnopolu. Tu Barylscy i członkowie miejscowej komórki AK otoczyli ją czułą opieką. Pełnej władzy w ręce nigdy już Janka nie odzyskała.

Nasz dom zamierzano prawdopodobnie również zaatakować, ponieważ widziano tego wieczora na podwórzu - od strony ogrodu - grupę ludzi, a wśród nich Włodka Jaremczuka, syna stryjowieckiego - jak mówiono we wsi - "atamana" banderowców. Być może spłoszył ich wspomniany turkot wozu ekonoma. Noc była mroźna, strzały było daleko słyhać, mogli więc obawiać się polskiej odsieczy. Ludzi tych widział na naszym podwórzu, ukryty w stercie słomy u Hudymów, Mizia.

Zdarzało się, że Niemcy poskramiali napady ukraińskich nacjonalistów. Oczywiście nie robili tego z sympatii dla Polaków, ale dla zasady "Ordnung muss sein". Nie tolerowali tego, co zakłócało ustalony przez nich porządek i dezorganizowało gospodarke.

Po akcji w Stryjówce widziano dużą grupę banderowców zmierzających do Maksymówki, gdzie znajdował się bardzo silnie obsadzony i uzbrojony posterunek policji ukraińskiej. Mieliśmy już pewność, że nie ma żadnej różnicy między policją a banderowcami oraz, że policja ta brała bezpośredni udział w napadzie na Stryjówkę wespół z miejscowymi nacjonalistami.

Ale nie można pominąć we wspomnieniach tych Ukraińców, którzy z narażaniem siebie pomagali Polakom. Ukraińscy mieszkańcy Stryjówki musieli wcześniej znać szczegóły napadu, gdyż nie można sobie wytłumaczyć inaczej zachowania Michała Kuszałka czy

Pałaszki Nahajowej ze Skałaszczyny, która niemal siłą zaciągnęła do swego domu i ukryła sąsiada Polaka, Stacha Ganowskiego. Dowodzi to, jak bardzo była zróżnicowana postawa ludności ukraińskiej Stryjówki. Gdy jedni, nie bacząc na następstwa pomagali Polakom, inni w tym samym czasie mordowali swoich polskich sąsiadów. Po tej strasznej nocy nikt już nie mógł być pewny, czy uczynny za dnia sąsiad nie przeistoczy się w nocy w bezlitosnego mordercę.

Policja ukraińska, władze administracyjne i banderowcy stale ze sobą współdziałali na szkodę Polaków. Np. do urzędu mieszczącego się w domu Małachowskich zaciągnięto Jana Robaka i Czesława Szarego, których skatowano okrutnie bez żadnego powodu. Wasyl Kruk wszedł spokojnie do tego urzędu po zamordowaniu Tadeusza Sokalskiego, pewien swojej bezkarności. Chodził też potem swobodnie po wsi, bawiąc się demonstracyjnie pistoletem. Ludzie bali się go; robił wrażenie człowieka bliskiego obłądu.

Ilu we wsi było jemu podobnych tylko, działających bardziej skrycie?

Józef K. Paygert
Dynów n/Sanem
(Wybór i red. I. Kotowicz)

Wspomnienia **(Część ostatnia)**

Tuż za Berdyczowem zatrzymał nas patrol niemiecki żądając dokumentów, których oczywiście nie mieliśmy. Żołnierz słysząc mój niemiecki wziął mnie za Żyda. Kiedy zaprzeczyłem, powiedział że go oszukuję. Zniecierpliwiony oświadczyłem, że nie mam powodu oszukiwać, a ponadto jestem na to za stary i za poważny. Wywarło to na Niemcu pewne wrażenie i po porozumieniu z drugim, puścił nas wolno. Powiedziałem moim towarzyszom, że wobec takiego początku wątpię czy uda nam się dostać do Połonnego.

Szliśmy na razie równym traktem prowadzącym z Kijowa (przez Berdyczów) do Szepetówki. Na obrzeżach gościńca leżało mnóstwo rozbitych aut i czołgów sowieckich. Nigdzie natomiast nie widzieliśmy rozbitych maszyn niemieckich. Żniwa nie były jeszcze rozpoczęte. Wszędzie ogromne zagony kołchozów, chłopskich ani śladu. Urodzaje słabe. Na drodze panował ogromny ruch. W jednym miejscu ustawiano armaty. Chciało się nam pić i wstępowaliśmy do przydrożnych chat pytając o mleko. Patrzono na nas ze zdziwieniem ponieważ bolszewicy zabrali wszystkie krowy.

Uszliśmy już z Berdyczowa jakie 10 kilometrów a nie napotkaliśmy żadnej wsi, jedynie przydrożne domostwa. W dali zarysował się las, a że pora była południowa i był wielki upał, postanowiliśmy odpocząć w jego cieniu. Gdy dowlekliśmy się do lasu okazało się, że rozlokował się już w nim oddział niemieckich żołnierzy. Za późno byłoby się wycofać więc pozostaliśmy na miejscu mimo, że Niemcy obserwowali nas bacznie i otaczali ze wszystkich stron. Po chwili jakiś podoficer zażądał od nas legitymacji. Poinformowałem go, że jesteśmy uciekinierami z sowieckiego więzienia i dokumentów nie posiadamy. Niemiec oświadczył wówczas, że musi nas aresztować bo po froncie nie wolno się kręcić. Przyjąłem to całkiem spokojnie, widocznie przywykłem już do niewoli. Próbowałem rozmowy z tym, który mnie aresztował. Okazał się dość uczynny i dał mi szklankę herbaty z rumem, co na moje cierpienia (spowodowane dobrym wiktem państwa Czarnieckich) okazało się doskonałym lekarstwem. Później dostaliśmy się w ręce gburowatych Niemców, z którymi wszelka rozmowa była wykluczona.

Znaleźliśmy się w obozie jenieckim. Spotkaliśmy tu wszystkich naszych towarzyszy, którzy wyruszyli z Berdyczowa przed nami i także zostali w tym lesie aresztowani. Był również pan Klimenko, który od tej pory stał się moim najbliższym towarzyszem. Było tu jeszcze wielu innych ludzi, przeważnie bolszewików przygnanych aż z Besarabii ale również urzędników z różnych instytucji polskich, np. lwowskiego "Orbisu". Razem było nas około 150 osób.

Po kilkugodzinnym czekaniu w lesie zajęchało kilka wielkich samo- chodów, do których kazano nam wsiadać. Miano nas odwieźć do Połonnego. Jazda wydała mi się królewska, choć byliśmy ściśnięci jak śledzie. Nagle na horyzoncie ukazały się rakiety świetlne będące ostrzeżeniem, że jazda w tym kierunku jest niebezpieczna. Zawrócono więc i stanęliśmy znów przed lasem, z którego przed chwilą wyjechaliśmy. Poprowadzono nas leśną drogą do jakiejś leśniczówki, policzono i zamknięto w stajni. Objąłem funkcję tłumacza. Kazano mi powiedzieć, że wyjście bez pozwolenia spowoduje zastrzelenie, a jeśli rano będzie kogoś brakować - odpowiedzą za to pozostali. W stajni pełnej błota ułożyliśmy się jakoś do snu i zaraz zasnęliśmy.

W nocy Niemcy kazali nam opuścić stajnię, policzyli nas znowu i poprowadzili starym lasem w pięknym świetle księżyca. Nikt nie wiedział dokąd nas prowadzą. Na jakiejś polanie czekały samochody ciężarowe i zamiast do Połonnego, wróciliśmy z powrotem do Berdyczowa. Czy nie lepiej tu było poczekać na Etappenkomando? Zajechaliśmy przed kościół na wzgórzu, o którym wspominałem. Wewnątrz zastaliśmy mrowie jeńców bolszewickich, trudno było przepchać się między leżącymi na ziemi ludźmi.

Rano obeszliliśmy kościół z panem Klimenko. W bocznej nawie zauważyłem tablicę informującą, że kościół zbudowany został przez hr. Tyszkiewicza w 1759 roku. Na chórze lśniły w przepychu ogromne organy. Był stąd wspaniały widok na cały kościół - siedem ołtarzy, potężne kolumny i mnóstwo barokowych ozdób. Zachowane było to wszystko jako muzeum, ale tchnęło wielkim smutkiem. Kościół zbezczeszczony, a w zakrystii jeńcy zrobili sobie ustęp.

Otwarto boczne drzwi i kazano nam wyjść po jedzenie. Na cmentarzu przykościelnym ustawiono kilka kuchni polowych, z których wydano nam dość dobrą zupę. Ale dano jej mało; naczyn też było mało, miski musieliśmy sobie pożyczać.

Nagle z wieży zaczął wydobywać się płomień. Kryta gontem, spaliła się bardzo szybko. Ogień przedostał się na chór, gdzie było wiele rozrzuconych nut, i w krótkim czasie pożar objął całą świątynię. Nikt ognia nie gasił. Niemcy przyglądali się spokojnie jak niszczyły cenny zabytek.

Zbliżał się wieczór, gdzie nas teraz ulokują? Kazano nam wejść do krypty, która rozciągała się pod całym kościołem. Wszystko w niej było kamienne, a grubość murów imponująca. Można było nie bać się tu ognia. Nieznośnym było tylko towarzystwo jeńców sowieckich, przeważnie Mongołów. Swoim dzikim zachowaniem dokuczali nie tylko nam ale i Niemcom. Ci szybko sobie z nimi poradzili. Strzelili w ich kierunku z rewolweru, jednego zabili, a innym kazali trupa wynieść. Od tej pory Mongołowie poskramiali swój temperament.

Pierwsza noc w krypcie była względnie spokojna. Rano rozpoczęła się wściekła kanonada. Bolszewicy walili z armat wprost na nasze wzgórze. Co chwila pękały z łoskotem nad naszymi głowami ciężkie pociski aż drżały mury. Byliśmy już głodni, zapasy zostały zjedzone, a wartownik oznajmił, że z powodu pocisków kuchnie nie będą czynne. Kanonada ustała dopiero wieczorem i wtedy rozdano nam jedzenie. Ale trzeba było bardzo się spieszyć. W nocy kanonada rozpoczęła się na nowo. Jeden pocisk spadł obok okna naszej krypty. Powstał taki potężny huk iż zdawało się, że mury wałę się na nas. Powylatywały wszystkie szyby i powstał dokuczliwy przeciąg.

Rano przybyła nowa partia jeńców, przeniesiono więc nas do suterren budynków położonych w pobliżu kościoła. Znajdowało się tam archiwum sądowe. Niektóre dokumenty pochodziły z urzędów parafialnych, inne jeszcze z czasów przedrozbiorowej Polski. Były tu też księgi metrykalne. Ludzie darli te stare księgi i robili sobie papierowe posłania. Oglądając je, natrafiłem na jedną z XII wieku. Przedstawiała inwentarze kościelne parafii rzym-kat. tutejszej okolicy. Wszystkie papiery, z których wiele było bardzo cennych, znajdowały się w okropnej poniewierce. Gdyby ktoś rzucił niedopałek papierosa, wszyscy spalili byśmy się żywcem, tyle tu tego było.

Zdobywszy się na lepszy wikt dla nas, (otrzymywaliśmy już posiłek trzy razy dziennie) Niemcy od razu zaczęli wymagać od nas pracy. Było to przeważnie usuwanie gruzów na dworcu kolejowym lub porządkowanie pozostawionych tam przez sowietów rozbitych kufrów i zapasów żywności. Była to praca bardzo lukratywna. Moi znajomi wracali obładowani woreczkami cukru, mąki i innych środków żywnościowych. Wiktuały przydały się nam bardzo gdy przyszły chude dni i nie było co do ust włożyć.

Pan Klimenko i ja przydzieleni zostaliśmy do krojenia chleba na małe kromki. Codziennie trzeba było przed śniadaniem nakroić kilka tysięcy porcji. Zaspokoiliśmy więc nie tylko swój głód ale odłożyliśmy też trochę na zapas, który wymienialiśmy się za cukier z

dworca. Zaznajomiliśmy się także z nowym kucharzem, który był Polakiem i starał się nam "dogadzać".

Jeńców w naszym obozie było już wówczas kilka tysięcy. Skradziono mi worek, przepadła reszta bielizny i koc. Szczęściem pozostał mi jeszcze płaszcz, który miałem na sobie.

W budynku klasztorным ocalałym z pożaru miałem okazję zapoznać się z bezbożniczą akcją w Bolszewii. Na ścianach rozwieszono tu obrazy przedstawiające w obrzydliwej karykaturze rozmaitych świętych, bluźniercze napisy i tablice z wykresami statystycznymi informujące, ile to ludzi "zatrutych jest opium religijnym" w poszczególnych krajach.

Pracowałem tylko do śniadania, później miałem czas wolny. Obserwowałem z naszego pagórka ruch wojsk inwazyjnych. Przez kilka dni przelewała się tu bez przerwy cała niemal potęga niemiecka. W porównaniu z inwazją bolszewicką na Polskę, którą obserwowałem ongiś w Husiatynie, ten marsz był bardziej "imponujący"; przeważała ciężka motoryzacja, uderzał porządek i dyscyplina, podczas gdy tamten pochód robił wrażenie najazdu na wpółdzikich ludzi.

W berdyczowskim obozie byłem świadkiem takich ekscesów wobec miejscowych Żydów, że pojąć nie mogłem jak naród filozofów, poetów i muzyków mógł upaść w swej nienawiści tak nisko. Znajdujący się między nami Ukraińcy, chcąc przypodobać się Niemcom, robili to samo na własną rękę. Tego co mogłem wytłumaczyć u nich atawistycznym dziedzictwem po Gontach i Żeleźniakach, u Niemców nie mogłem zrozumieć. Potem przyszła kolej na prześladowanie Żydów, którzy dostali się razem z nami do obozu, nie zdoławszy uciec z bolszewikami. Była ich garstka, ale nikt nie mógł ująć się za nimi, gdyż byli od nas ściśle izolowani.

Po pięciu dniach kazano nam niespodziewanie wsiadać do ciężarowych samochodów oczekujących u stóp pagórka i po dwóch godzinach przybyliśmy do Żytomierza. Całe ulice były zburzone. Jechaliśmy dalej na zachód, wszędzie widząc ślady bitew. Dotarliśmy do równie zniszczonego Zwiahla, gdzie był znów obóz jeńców, znacznie większy od berdyczowskiego (na oko 10 tysięcy ludzi). Czekaliśmy kilka godzin w kolejce do jedynej studni na podwórzcu. Dopiero wieczorem dostaliśmy miskę rzadkiej zupy i dwa suchary. Nazajutrz - to samo na cały dzień. Równie niedobrze przedstawiała się sprawa noclegu. Drugiego dnia wyprowadzono nas na jakąś łąkę ogrodzoną kolczastym drutem. Odetchnąłem z ulgą. Wolałem marznąć lub moknąć, aniżeli spać w dotychczasowych warunkach. Rygor w tym obozie był wielki. Kto zbliżył się do drutów, natychmiast został zastrzelony przez strażnika. Wszyscy jeńcy zostali podzieleni na grupy, nad którymi komendę objęli przybyli z nami Ukraińcy.

Drugiego dnia kazano wszystkim pokazać buty. Kto miał lepsze, musiał je natychmiast oddać nie dostając w zamian niczego (wszyscy ci ludzie pozostali bosi). My mieliśmy obuwie w takim stanie, że nie wzbudzało ono chciwości Niemców. Po torturowaniu Żydów to druga sprawa, która odsłoniła mi niemieckie okrucieństwo.

Drugiego dnia przyjechała też komisja wojskowa, osławione Gestapo. Byłym więźniom kazano ustawić się czwórkami i oznajmiono, że wnet będziemy wolni. Pytano mnie skąd pochodzę i za co bolszewicy mnie uwięzili. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Sądziłem, że Niemcy nie będą utrzymywać w mocy zarządzeń bolszewickich dotyczących zniesienia majątków, ale później miałem się przekonać, że nie zwrócili nikomu własności folwarcznej odebranej przez bolszewików.

Po czterech dniach pobytu w Zwiahlu znów zajęły ciężarowe samochody i ruszyliśmy w drogę. Minąwszy Korzec, przyjechaliśmy do Równego. Kazano nam wysiąść w śródmieściu i poprowadzono czwórkami do obozu. Jeńców między nami już nie było, ale wyglądem swoim zwracaliśmy uwagę przechodniów i co chwilę ktoś do nas podchodził; pytaniom o zna- jomych nie było końca.

W budynku nie było miejsca, więc musieliśmy nocować pod gołym niebem. Żołnierz pilnujący nas wystarał się na własną rękę o wieczerzę dla nas. Było nas już tylko 50-ciu. Nazajutrz oświadczone, że dla cywilów chleba w ogóle nie będzie. Znaleźliśmy w ogrodzie przylegającym do obozu piwnicę ze starymi, na wpół zgniłymi kartoflami. Po oskrobaniu ugotowaliśmy je w pożyczonych od Niemców naczyniach. Ogniska rozpaliliśmy na dworze. Z kwiatu lipowego, którego w ogrodzie było pod dostatkiem, zrobiliśmy sobie smaczną herbatę. W ten sposób przeżyliśmy parę dni doświadczając, jak wspólnymi siłami i pomysłowością można wybrnąć z trudnej sytuacji.

Dodatnią stroną tego obozu była względnie duża swoboda. Mogliśmy rozpalać ogniska, chodzić po ogrodzie, a nawet do miasta po zameldowaniu się u wartownika. Raz tylko zastaliśmy do ogrodu furtkę zamkniętą, a żołnierz który nam wzbraniał wejścia powiedział, że w ogrodzie odbywa się właśnie ... egzekucja.

W końcu zaczęła urzędować Ukraińska Policja Pomocnicza, która miała zaopatrzyć nas w przepustki. Wybraliśmy się do nich z panem Klimenko, a ponieważ było już za późno, poszliśmy do restauracji aby chociaż raz zjeść dobry obiad. Miałem jeszcze 18 rubli od pana Czarnieckiego, ale ceny tak podskoczyły, że nie można było marzyć o jedzeniu dla dwóch osób za ten kapitał. Wówczas pan Klimenko sprzedał swoją kurtkę pierwszemu lepszemu nabywcy i za część pieniędzy zafundował sobie obiad. Chodziliśmy po mieście szukając piekarni, ale w żadnej chleba już nie było. Zawarliśmy natomiast znajomość z piekarzem, Polakiem panem Woźnickim, który dowiedziawszy się o naszych kolejach zaprosił nas gościnnie do siebie. W drodze do obozu spotkaliśmy znajomych, którzy powiedzieli nam że Niemcy kazali byłym więźniom starać się o przepustki na własną rękę, byle jak najprędzej opuścili obóz. Wróciliśmy więc na noc do gościnnych państwa Woźnickich.

Nazajutrz zdecydowaliśmy, że zaraz po otrzymaniu przepustek wyruszymy pieszo do Brodów, a stamtąd koleją do Lwowa (z Równego jeszcze żaden pociąg nie kursował). Pan Woźnicki wskazał nam drogę na Brody (około 100 km) i poinformował, że po drodze znajdują się zasobne czeskie kolonie, gdzie będziemy mogli się pożywić bo ludność jest tam gościnna. Wybieraliśmy się w drogę we trójkę, towarzyszył nam jeszcze pan Stankiewicz, sołtys z Łukawicy. Najpierw udaliśmy się do kościoła, gdzie od wielu miesięcy mogłem po raz pierwszy uczestniczyć we Mszy św. i podziękować Bogu za opiekę. Potem poszliśmy do fryzjera aby ogolić brody i nie wyglądać na Żydów. Fryzjer nie chciał wziąć od nas pieniędzy. Do Brodów wyruszyliśmy o godz. 10-tej rano. Żaden przejeżdżający samochód nie chciał nas zabrać. Dowleliśmy się więc do owej kolonii czeskiej w pierwszej wsi za Równem. W pierwszym domu gospodyni mówiąca słabo po polsku dała doskonałą maślankę i po kromce białego chleba. Od tej pory byliśmy na łaskawym chlebie tych, do których wstępowaliśmy. Wszędzie coś nam dawano, raz lepiej, raz gorzej, ale nigdy nie odprawiono z pustymi rękoma. Owszem, raz powiedziano nam, że były już w domu inne partie takich podróżnych jak my wobec czego nie mają chwilowo nic do ofiarowania. Nie była to więc zła wola tylko rzeczywista niemożność po- częstowania czymkolwiek. Również nigdzie nie odmawiano nam noclegu. Musieliśmy jedynie meldować się na policji ukraińskiej gdzie noc będziemy spędzać. Sypialiśmy zwykle na sianie w stodole. Gdy słońce wstawało, myliśmy się pod studnią i ruszaliśmy dalej, patrząc gdzie się z komina unosi dym, by poprosić o mleko. Najbardziej gościnnego przyjęcia doznaliśmy u gospodarza Franciszka Mischzaka, kowala w Nowych Dębinach koło Dubna. Nie chciano nas stamtąd wypuścić dopóki nie został przyrządzony dla nas odpowiedni obiad. Przy pożegnaniu każdy z nas otrzymał od gospodarza zgrabną laskę, osobiście przez niego wykonaną. Gorący patriotyzm tego człowieka w czasach, gdy najcięższe ciosy spadały na Polskę, mógł być wzorem dla tych, którzy zwątpili już w naszą sprawę.

Trzeciego dnia dotarliśmy do Radziwiłłowa, a stąd pojechaliśmy do Brodów przygodną furmanką. Na dworcu w Brodach zgłosiłem się do urzędnika kolejowego o pozwolenie na

bezpłatną jazdę pociągiem do Lwowa. Najbliższy pociąg miał odejść wieczorem. Wleliśmy się pociągiem towarowym całą noc i w końcu 27 lipca rano wysiedliśmy na dworcu głównym we Lwowie. Tu rozstałem się z moimi towarzyszami. Pan Stankiewicz udawał się do Rawy Ruskiej, pan Klimenko miał do domu tylko parę kroków, a ja wsiałem do tramwaju.

W domu zastałem towarzysza z więzienia, pana Brocka, który pamiętając z "Brygidek" mój adres przyszedł tu, bo nie miał chwilowo gdzie się podziać. Wrócił z panem Suchostawem z Berdyczowa o dwa tygodnie wcześniej ode mnie, ponieważ zdołali szczęśliwie uniknąć niemieckiego obozu.

Tak więc to, co uważałem za przykre zrządzenie losu - wywiezienie mnie ze Lwowa, okazało się opatrnościowe. Byłbym bowiem nie uniknął masakry, którą urządzili bolszewicy w lwowskich więzieniach przed nadejściem Niemców.

O moich towarzyszach z "Brygidek" dowiedziałem się, że żyje ich siedmiu. Z Berdyczowa uratowało się znacznie więcej osób.

Dynów nad Sanem, w maju 1944 roku.

*Ks. Kazimierz Stuczan-Orkusz
Gdańsk-Wrzeszcz
(Wybór i red. I. Kotowicz)*

Wspomnienia Podolaka Cz. II.

Pewnego razu radio sowieckie nadało audycję z Kijowa o ks. Sawickim. Nazwano go kontrewolucjonistą, któremu udało się wymknąć sprytnie do Polski, ale gdy dostaną go w swoje ręce zostanie odpowiednio ukarany. Gdy wdarli się w 1939 roku do Polski, nie zastali już ks. Sawickiego wśród żywych.

Ta moja pierwsza samodzielna placówka leżała na samych krańcach Polski, nad wschodnią granicą. Krajobraz tutejszy przypominał mi sienkiewiczowskie Dzikie Pola. Bo rzeczywiście były tu bezdroża, które w czasie wiosennych roztopów i jesiennej słoty zamieniały się w bagniska, przez które nie wszędzie dało się przejechać. Nabyłem więc wierzchowca i na nim dojeżdżałem do okolicznych szkół i kaplic.

Toczyła się tu od dawna "walka o dusze".

Prawo kościelne ujęte w konkordii postanawiało, że w małżeństwach mieszanych dzieci mają być wychowywane w zależności od obrządku i płci rodziców: chłopcy w obrządku ojca, dziewczynki w obrządku matki. Na terenie Małopolski Wschodniej utożsamiano obrządek z narodowością. Ustalił się tam prawny obyczaj, że ochrzczeni w obrządku grekokatolickim uważani byli za Rusinów (później Ukraińców), ochrzczeni zaś w obrządku rzymskim za Polaków.

Zwyczaj ten wykorzystywali Ukraińcy dla swoich politycznych celów. Chrzcili polskie noworodki w cerkwiach i niekiedy wynaradawiali w ten sposób całe wsie. Przychodziło to tym łatwiej, że parafii unickich było więcej. Np. w mojej "rzymskiej" parafii sidorowskiej było cztery parafie unickie. Pracowało w nich 5 księży Ukraińców, podczas gdy polski ksiądz był tylko jeden.

Na wiele lat przed I wojną proboszczował w Sidorowie ks. Besarabowicz - Polak. Starsi Sidorowianie pamiętali go i opowiadali, że żył w wielkiej przyjaźni z ruskimi sąsiadami - ks. Rostkowiczem z Sidorowa i ks. Bukowskim z Szydłowic. Ci dwaj stale odwiedzali naszego

kapłana i dla umilenia mu starości grywali z nim preferansa pod wielką lipą, rosnącą między kościołem a plebanią jeszcze za moich czasów. Bywało, że w czasie gry zjawiała się kobieta z odległej wsi i zgłaszała chrzest. "Troskliwi" goście ganili ją, że fatyguje staruszka i ofiarowali się z zastępstwem: ochrzczą dziecko w cerkwi a dokumenty prześlą ks. Kanonikowi. Ten w dobrej wierze wyrażał zgodę, a oni z reguły "zapominali" o odesłaniu dokumentu. Zapisywali chrzest w cerkiewnych księgach i w ten sposób przybywało z latami Ukraińców. W taki właśnie sposób zruszczony został szlachecki zaścianek Szydłowce. Mieszkająca tam niegdyś polska szlachta - rodziny Dębińskich i Zaborowskich miały odnotowane w księgach metry- kalnych "nobillis". Za moich czasów nazwiska te były już w znacznej części zmienione na Dubyńskij i Zaborośkij. Był to dzieło ks. Bukowieckiego.

Za mojego pobytu w Sidorowie, wśród pięciu księży unickich czterech było zdeklarowanymi nacjonalistami. Tym wyjątkiem był ks. Konowalec, stryjeczny brat płk Ewhena Konowalca, przywódcy ukraińskich nacjonalistów przebywającego na emigracji w Berlinie, gdzie zginął z rąk sowieckiego agenta.

Ks. Konowalec zwierzył mi się, że sam także był kiedyś zdeklarowanym nacjonalistą ukraińskim. Jako lekarz, powołany został w 1914 roku do wojska austriackiego, dostał się do niewoli rosyjskiej, uciekł z niej do armii Petlury i wraz z nią przybył do Polski. Po wojnie wstąpił w Stanisławowie na teologię i został wyświęcony przez bpa Chomyszyna. Biskup mianował Konowalca przełożonym Seminarium Duchownego. Gdy ten zaczął sączyć w umysły kleryków ideologię ukraińskiego nacjonalizmu oraz sprzeciwiać się ugodowej polityce biskupa, został przeniesiony do Sidorowa do pomocy staremu ks. Rostkowiczowi. Ta degradacja była dla Konowalca kubłem zimnej wody! Zrozumiał, że powołaniem kapłana jest głoszenie miłości, nie zaś nienawiści.

Wystąpił do mnie z propozycją współpracy duszpasterskiej. Przychodził pomagać mi w spowiedziach, a mnie zapraszał do cerkwi. Brał udział ze swymi wiernymi w uroczystościach Bożego Ciała, ja zaś w święto Jordana. W sprawach moralności obyczajów uzgodniliśmy swoje stanowiska. Z powodu tego zbliżenia z polskim kapłanem księża unicy zaczęli od niego stronić. Czuł się bardzo osamotniony. Gdy przeniesiono mnie później pod Trembowłę, odwiedził mnie. Jego również przeniesiono. Nie wiem jak potoczyły się dalsze losy ks. Konowalca, nigdy go więcej nie spotkałem, ale wspominam zawsze jako wzorowego kapłana.

Ukraińscy partnerzy ks. Besarabowicza do preferansa żyli jeszcze za mego proboszczowania w Sidorowie. Starego ks. Rostkowicza wyręczał ks. Konowalec, ale w Szydłowcach działał nadal ks. Bukowski. Uczyliśmy obaj w tej samej szkole. Na różne sposoby starał się odciągać mnie od lekcji, aby osłabić mój wpływ na polskie dzieci. Długo trwała ta wojna pokrywana fałszywą uprzejmością, aż przyszło do ostatecznej rozgrywki.

Była w jego parafii bogata dziewczyna z mieszanej rodziny - ojciec był Polakiem. W Sidorowie miała koleżanki, z którymi przychodziła na nasze zebrania Akcji Katolickiej. Zapytałem kiedyś żartem, czy nie ma zamiaru zmienić obrządku skoro podoba się jej u nas. Odpowiedziała bardzo rozsądnie, że to będzie zależało kim będzie przyszły mąż. Jeżeli Ukraińcem - zmiana obrządku nie ma sensu, jeżeli Polakiem - obrządek zmieni aby nie było w rodzinie niezgody. Wybrała chłopca Polaka, i postanowiła zmienić zarówno obrządek jak i narodowość. Zwróciła się do ks. Bukowskiego o metrykę urodzenia, aby złożyć ją w Starostwie z odpowiednim wnioskiem. Ks. Bukowski odmówił wydania metryki i wygnał dziewczynę z wielką awanturą. (Starostwo ściągnęło metrykę drogą urzędową). A w najbliższą niedzielę wyklął w cerkwi dziewczynę z ambony. Tak się poirytował, że dostał na miejscu wylewu krwi do mózgu. Leczył się potem pół roku we Lwowie, ale nie był już zdolny do dalszej walki z polskością na swoim terenie.

Ten przykry epizod ilustruje atmosferę, w jakiej żyliśmy tam i musieliśmy pracować. Kiedy w czasie wizyt kolędowych odnajdywaliśmy te "skradzione dusze" w mieszanych rodzinach, przeprowadzaliśmy sprawę przez Starostwo. Było to dla polskich księży

nieprzyjemne i niebezpieczne. Ukraińcy byli z tego powodu wrogo do nas nastawieni, czego wcale nie kryli. Ja np. znalazłem się na liście proskrybowanych, i zapewne zginąłbym wiadomą śmiercią, gdybym pozostał tam na czas okupacji niemieckiej. Zasłużonego legionistę z Sidorowa przecięli banderowcy żywcem piłą na pół.

15 sierpnia 1938 roku przeniesiony zostałem pod Trembowłę. Z żalem opuszczałem te przepiękne krajobrazowo strony.

Z Sidorowa przeniesiono mnie do Krowinki, wsi, a raczej przedmieścia Trembowli. Tutaj zupełnie inaczej: jedna wioska, jeden kościół i jedna szkoła, a parafianie obojętni pod względem religijnym. Do kościoła udało mi się ich przyciągnąć, nawet tych opornych, ale nowej świątyni nie "wyczarowałem". I na kościelnej parceli nadal stał prowizoryczny kościół, przerobiony ze starej folwarcznej stodoły. Z ludźmi, którzy mieli na względzie tylko własny interes, nie potrafiłem się porozumieć i władze kościelne przychyliły się do mojej prośby o przeniesienie. Tym razem skierowano mnie na zachodnie krańce diecezji lwowskiej.

Był marzec 1939 r. Moja nowa parafia nazywała się Wołczuchy. Nie- wielka wieś, położona 8 km na zachód od Gródka Jagiellońskiego (stacja PKP Rodatycze). Tu zetknąłem się z ludźmi zupełnie innego pokroju. Mówili na co dzień po polsku, (co na wschodnich rubieżach było wielką rzadkością) i nawet Ukraińcy (1/3 mieszkańców wsi) używali w rozmowie z Polakami języka polskiego.

Wieś wstąpiła się w wojnie polsko-ukraińskiej 1918-1919 roku. Wołczuszanie rozbroili samorzutnie 30-osobowy posterunek ukraiński i przez cały czas wojny bronili linii kolejowej łączącej Przemyśl ze Lwowem. Utrzymali ją aż do przybycia pułków poznańskich, które właśnie w Wołczuchach rozpoczęły zwycięską ofensywę, zakończoną pod Kołomyją. Bitwa pod Wołczuchami toczyła się 21-22 lutego i wielu jej uczestników zostało pogrzebanych na tamtejszym cmentarzu.

Miałem później okazję przekonać się, że moi parafianie byli uświadomieni narodowo i dobrze zorganizowani. Na uroczystości narodowe wyruszali zawsze gremialnie: chłopcy w banderii, dziewczęta w krakowskich strojach.

W pierwszą niedzielę zobaczyłem w kościele tłumy. Przyszli także Ukraińcy posłuchać, co ten nowy ksiądz w kazaniu powie. Co z tego "podśluchu" dla mnie wynikło, opowiem w innym miejscu.

W południe zjawiła się na plebanii delegacja z prośbą, abym przyszedł do Domu Ludowego dla omówienia spraw związanych z budową kościoła. Byłem mile zaskoczony, ponieważ w innych parafiach proboszcz z trudem gromadził ludzi w takich sprawach. Zdumiałem się widząc bramę powitalną, jaką zwyczajowo robi się na przyjazd biskupa. Parafianie przybyli w komplecie. Posadzono mnie na honorowym miejscu i zaczęło się uroczyste powitanie: mowy, deklamacje, śpiewy, kwiaty. Potem nastąpiła część robocza zebrania.

Prowadził je sielny chłop, Władysław Siwak. Rozpoczął po swojemu: - *Miałeś Józku przywieść w tym tygodniu 3 fury kamienia. Czemuś ich nie przywiózł? Kiedy to zrobisz?* - Jednych ganił, drugich chwalił. Na koniec wyjął notes i wymienił nazwiska oraz przydzielone na ten dzień czynności. Po wyczerpaniu tematu zwrócił się do mnie z pytaniem, czy zatwierdzę przedłożony plan robót? Zatwierdziłem, pochwaliłem i podziękowałem za wzorową organizację. Zebranie zakończyło się wesołą zabawą taneczną. Takie robocze zebrania odbywały się prawie każdej niedzieli i także kończyły się zabawą. Wołczuszanie byli ludźmi wesołego usposobienia, tacy "do tańca i do różańca".

W Wołczuchach byłem tylko cztery lata ale wiele razem przeżyliśmy w czasie okupacji niemieckiej i podwójnej okupacji sowieckiej.

Zbliżanie się wojny w 1939 roku odczuliśmy już w czerwcu, ponieważ wciąż szły na zachód transporty wojskowe i wielu młodych też od nas poszło, m.in. organista, który zginął nad Pilicą.

Pierwszych makabrycznych przeżyć doznałem już 1 września. Nie wiedząc nic o wybuchu wojny, wybrałem się wcześniej rano motocyklem do Lwowa, ponieważ zabrakło wina mszalnego. Na szosie Gródek-Lwów, zawsze bardzo ruchliwej, panował niezwykle spokoj. We Lwowie zatrzymałem się dłuższą chwilę obok dworca towarowego przy Gródeckiej, gdzie Lwowianie żegnali żołnierzy odjeżdżających na front. Potem pojechałem Gródecką w dół do "Winarium". W sklepie było kilka bardzo podekscytowanych pań. Jedna twierdziła, że wybuchła wojna, inne że to tylko próbne alarmy lotnicze. Poprosiłem o wydanie wina i wyszedłem rozejrzeć się na ulicę. Przy kościele św. Elżbiety roіło się od ludzi. Uciekali w dół Gródecką, a za nimi ukazywały się słupy dymu, którym towarzyszyły grzmoty. Róg kamienicy wyleciał w powie- trze a jedna bomba spadła w sam środek tego uciekającego tłumu.

Skryliśmy się w piwnicy sklepowej i przesiadeliśmy w niej kilka godzin. Co pewien czas mury domu drżały od wybuchów. Gdy uspokoiło się trochę, wyjechałem na poszukiwanie siostry, z którą byłem umówiony przy kościele św. Elżbiety. Przejazd Gródecką był makabryczny. Na ulicy leżały porozrywane ciała ludzkie, zabite konie, porozbijane wozy, i to wszystko co wyleciało z wystaw sklepowych.

Na umówionym miejscu spotkania leżeli jedynie zabici. Przechodnie informowali, że rannych zabrało Pogotowie i szukać ich trzeba w szpitalach. Szukałem w nich, ale siostry nie znalazłem. Powiedziano, może ... w kostnicy. Jeśli w kostnicy - myślałem - to nic jej nie pomogę. Zbliżała się noc, postanowiłem wracać do domu. Nie było to proste, bo co kilkanaście minut odzywały się syreny alarmowe i policja spędzała ludzi z ulicy do schronów. Wyjechałem z miasta o późnej godzinie. (Siostrę zastałem w domu, udało jej się jakimś autobusem uciec spod bomb).

Przez następne tygodnie Niemcy codziennie bombardowali pobliską linię kolejową Przemyśl-Lwów. Uciekaliśmy z domu do oddalonych o 5 km Dobrzan. Ukraińcy z Wołczuch nigdzie nie uciekali. Ustawiali przed domami stoły i ucztowali przy nich pijąc "Polsce na pohybel".

Front szybko się przybliżał, do Przemyśla było od nas tylko 60 km. Najpierw jednak pojawiła się fala uciekinierów. Byli głodni, wyczerpani, przerażeni, gdyż Niemcy ustawicznie bombardowali drogi i - jak wiemy - strzelali z samolotów nawet do pojedynczych ludzi. Lubili walczyć z bezbron- nymi. Uciekinierzy prosili o żywność i nocleg; bywało, że wydaliśmy wszystko co było w domu.

Pewnego dnia usłyszeliśmy półgodzinną gwałtowną kanonadę. Doszły nas wieści, że do Murzełowic - wioski zamieszkałej przez licznych niemieckich kolonistów - zajechała w gościnę dywizja pancerna, i że wyszedł ją tam gen. Sosnkowski niszcząc skoncentrowanym ogniem dział. Nie wiemy czy tak było istotnie, ale była to ostatnia radosna nowina jaka do nas dotarła. Oddziały polskie otoczone w okolicy Wołczuch przez Niemców broniły się jeszcze jakiś czas, potem musiały się poddać.

Na plebanii zebrała się grupa młodych oficerów; chcieli walczyć dalej, ale nie mieli już czym. Większość jednak nie chciała słyszeć o niewoli. Nagle pod domem huknął strzał i jednocześnie wpadł do mieszkania patrol niemiecki, podprowadzony przez miejscowych Ukraińców. Niemiec przyłożył mi pistolet do skroni i wrzeszczał: - *Gdzie są ukryci polscy oficerowie!?* Kłamię więc: - *Byli, ale już poszli!*. Sytuację komplikuje kompletnie wytracona z równowagi p. Amelia Z., kierowniczka miejscowej szkoły, która wykrzykuje histerycznie po polsku: - *Tak, tak, są oficerowie!* - Na szczęście Niemiec jej nie zrozumiał. Wysłał jednak żołnierza aby sprawdził wszystkie pokoje, i grożąc mi wciąż pistoletem wrzeszczał: - *Jeżeli znajdą oficerów to "deine letzte Stunde!"* -

Żołnierz nie znalazł nikogo. Udało się! Oficerowie uciekli na czas przez drzwi do ogrodu. Gdy wieczorem weszliśmy do szopy przy plebanii, ze słomy wychyliło się kilka żołnierskich głów. Przechowaliśmy ich w wielkiej tajemnicy, przygotowaliśmy cywilną

odzież i nocami wyprawialiśmy do domów.

Po raz drugi przeżyliśmy wstrząs 17 września! Co teraz będzie? ... Nikt nie potrafił na to pytanie odpowiedzieć.

Kilka dni później zaczął odwiedzać mnie codziennie młodszy lejtnant sowiecki i on dał nam odpowiedź: - *Teraz będzie "charaszo!"* - Będzie nas uczył kultury i uświadamiał politycznie! A czynił to następująco: Na wstępie zdradził mi wielką tajemnicę, że w Polsce rządził "groźny car Piłsudski", a szkoły przeznaczone były wyłącznie dla burżujów, "biedniacy" nie mieli do nich wstępu. Zapytałem czym wytłumaczy, że nie będąc burżujem a "biedniakiem", zdałem maturę z odznaczeniem? "To jasne - on na to - burżuje popełnili wobec was wielką pomyłkę!" - Zostałem więc i w tej materii uświadomiony. Do wyjaśnienia pozostał jeszcze problem k i e d y będzie "charaszo"? Lejtnant i tę sprawę rozstrzygnął: "wtedy, kiedy ba'ko Stalin przyłączy te ziemie do sowieckiej derżawy". Okazało się, że lejtnanta wysłano do nas aby agitował za tym właśnie przyłączeniem. Wkrótce też przyszło polecenie władz sowieckich byśmy "dobrowolnie" głosowali za przyłączeniem "zapadnej Ukrainy do ZSRR". Dostałem nawet imienne zaproszenie do tego "dobrowolnego" głosowania z podkreśleniem, że nie stawienie się uznane zostanie jako kontrrewolucja oraz wrogość do Związku Radzieckiego i odpowiednio potraktowane Stalin solennie dotrzymał słowa i przygarnął nas do swego "ojcowskiego" serca. Zaczął też rządzić na naszych ziemiach zgodnie z porywami tego serca, a jak to wyglądało, wszyscy dobrze pamiętamy. Z mojej parafii deportowano na wschód 210 osób, z których w 1945 roku powróciło do domu tylko 30!

Wywóz tzw. "parcelantów" spowodowali u nas Ukraińcy informując Sowietów, że otrzymali tę ziemię od Piłsudskiego za udział w wojnie 1920 roku. Było to podłe kłamstwo. W Wołczuchach małorolni sami sprzedawali swoje morgi, aby kupić ich więcej z parcelowanych majątków Kórnickich, a w Dobrzanach Jabłonowskich, bo ziemia z parcelacji była tańsza. Natomiast w wojnie z bolszewikami wcale udziału nie brali.

Władze sowieckie nałożyły na poszczególne świątynie wysokie podatki, drugie tyle zaś na jakiś "kultzbir". W tej samej wysokości opodatkowani zostali także księża. Mała parafia wołczuska płaciła np. 5.000 rubli podatku i tyleż na "kultzbir", co w owych czasach było ogromna suma. W 1940 roku podatki podwojono. Były tak wysokie, że parafianie musieli organizować na ten cel specjalne zbiórki. Nie zapłacenie podatku powodowało zamknięcie kościoła i oskarżenie proboszcza o sabotaż. W kolejnym roku podatki były tak wysokie, że zapłacenie ich było fizyczną niemożliwością.

Na wiosnę 1941 wytworzył się jakiś dziwny nastrój, jakby się miało wydarzyć coś niezwykłego. W czerwcu rozeszła się pogłoska, że na bocznicach kolejowych znów stoją puste wagony towarowe. Zapowiadało to nowe wywózki na wschód. Na ludzi padł strach. Zaczęli się do nich przygotowywać, aby uniknąć zaskoczenia.

W niedzielę 22 czerwca 1941 roku obudził nas rano warkot przelatujących samolotów. Leciwały tak nisko, że na skrzydłach widoczne były "hakenkreuze". Na wschodzie pojawiła się potężna łuna pożaru i słychać było wybuchy. To paliły się sowieckie lotniska w Gródku Jagiellońskim. Tak nagle i niegrzecznie zerwał Hitler przyjaźń ze Stalinem. A "bohaterzy Związku Radzieckiego" zgoła nie po bohatersku wiali przed Niemcami. Tam, gdzie starczyło czasu, zostawiali makabryczne dowody swojej przyjaźni.

Mój parafianin, Władysław Wróblewski, mieszkał w tym czasie we Lwowie obok więzienia "Brygidki". Po ucieczce Sowietów widział na dziedzińcu więziennym wielki masowy grób i piwnice pełne spalonych żywcem ludzi. Wysokie kanały starego systemu kanalizacyjnego także wypełnione były zamordowanymi więźniami.

Ks. Jan Gustkowicz, w owym czasie wikary w kościele św. Marii Magdaleny we Lwowie, widział więzienie na Łackiego: cały dziedziniec zasłany był trupami, a cele wypełnione pomordowanymi.

Trzeci taki "magazyn" zamordowanych ludzi zostawili Sowieci w więzieniu na Zamarstynowie.

O. Matlak, franciszkanin z Sądowej Wiszni, został przed 22 czerwca 1941 r. aresztowany wraz z liczną grupą miejscowej inteligencji. Sowieci zamknęli więźniów w dużej stodole pod lasem, a następnie wyprowadzali ich małymi grupkami i mordowali. W pewnym momencie rozeszła się pogłoska, że pod Sądową Wisznią wylądował desant niemiecki. Oprawcy uciekli, pozostawiając więźniów w zamkniętej stodole. Pod ich nieobecność okoliczni mieszkańcy więźniów uwolnili. Gdy wyjaśniło się, że desant był nieprawdziwy, Sowieci powrócili, ale nie dokończyli swego krwawego dzieła, bo musieli się już wy- nosić.

Gdy wynieśli się także z Wołczuch, znaleźliśmy w kancelarii sołtysa listę osób wyznaczonych do trzeciej (niedoszłej) wywózki. Figurowałem na pierwszym miejscu.

Zmiana rzeczywistości sowieckiej na niemiecką odbywała się wśród huku dział i eksplodujących granatów. Uciekając w popłochu spod Przemyśla, Sowieci dopiero w Wołczuchach znaleźli teren dogodny do obrony. Okopali się na wzgórzach otaczających wieś od wschodu, Niemcy podeszli lasem od zachodu, a my byliśmy w środku. Wypędzono nas wkrótce z domów, które zajęli Niemcy. Siedzieliśmy w rowach lub naprędce kopanych "schronach" i czekaliśmy na koniec bitwy. Przez dwanaście godzin latały nad naszymi głowami pociski armatnie i wszystkie możliwe. Bitwa była bardzo zażarta. Artyleria strzelała z trzech stron. Na wieś spadło kilkanaście pocisków ale żaden dom nie został trafiony, nikt też z mieszkańców nie zginął. Natomiast w bitwie zginęło około pół tysiąca Niemców i znacznie więcej Sowietów. Spędzono później naszych ludzi do grzebania poległych. Pobojowisko przedstawiało wstrząsający widok. Z pośmiertnych metryk dowiedzieliśmy się, że polegli żołnierze radzieccy pochodzili przeważnie z Małopolski Wschodniej. Byli to Ukraińcy wcieleni do Armii Czerwonej.

Przy okazji nasi chłopcy ukryli sporo broni, której na pobojowisku nie brakowało.

c.d.n.

Dr Tadeusz Błażyński

Wetherby - Anglia

Szkolne migawki z Czortkowa

Pierwszy mój kontakt z młodymi Czortkowanami nie był szczególnie zachęcający. W przepiękny, złoty wrześnieowy dzień znalazłem się w Publicznej Szkole Powszechnej im. Jana Sobieskiego na podzamczu, paradując w nowym harcerskim mundurku, jak przystało "nowoupieczonemu" harcerzowi. Występ ten nie został jednak przyjęty entuzjastycznie przez moich nowych kolegów - wręcz przeciwnie. Miałem bowiem zamiast harcerskiej chusty - huculską "krajkę" - barwny wełniany krawat, stanowiący oficjalną część mundurów drużyn harcerskich w Kołomyji, skąd właśnie (w lecie 1935 r.) przyjechaliśmy do Czortkowa.

Krajka szybko zniknęła (owijałem nią ramę roweru) i stosunki w klasie stały się przyjazne. Po starym budynku szkoły im. M. Kopernika w Kołomyji, nowa szkoła czortkowska, pięknie usytuowana między Seretem a ruinami zamku, była dla mnie przez rok przystanią nauki i przygotowania do gimnazjum. Uczyli nas m. in.: O. Teofil Patynek O. P. - religii, języka polskiego - pan Kowal, Ukrainiec (jak się wtedy mówiło Rusin)³ a zamiłowanie

³ Pan Kowal - Rusin (czy jak kto woli Ukrainiec), był nauczycielem w polskiej państwowej szkole, gdzie uczył języków: polskiego i ruskiego, a jego syn Andrzej uczęszczał do

do muzyki usiłował wzniecić - bez wielkich wówczas sukcesów - skromny wzrostem lecz entuzjastycznie grający na skrzypcach p. Józef Mucha. Pragnął nas również przekonać, że powinniśmy śpiewać z nut, nie z pamięci. (Nazwisk innych nauczycieli już nie pamiętam). Jako chłopcy z "królewskiej" szkoły patrzyliśmy z niejaką pogardą na kolegów ze szkoły "pisarskiej" - drugiej Męskiej Szkoły Powszechnej w Czortkowie im. Stefana Żeromskiego.

Na wiosnę 1936 roku zjawiłem się po raz pierwszy, przejęty wielkością chwili, w murach Gimnazjum i Liceum im. J. Słowackiego, biorąc udział w egzaminie kwalifikacyjnym, a wrzesień zastał mnie już jako ucznia I klasy gimnazjalnej, mieszczącej się w nowym budynku Bursy TSL. Znalazły w nim też pomieszczenia gabinety: przyrodniczy i fizyczny oraz inne klasy. Opiekunką I a była świeżo zamężna pani Kazimiera Mażewska-Petri. Uczyła nas języka polskiego. Początkowo zwracała się do klasy per "Moje aniołki", ale "anioł- kami" nie pozostaliśmy długo. Któregoś dnia, gdy nasza wychowawczyni spóźniła się poważnie na lekcję (spiesząc z głównego budynku gimnazjum), nieokiełznana i pełna animuszu młodzież I a nie oczekiwała jej przybycia w atmosferze skupienia. Stojąc przy otwartych oknach, wykrzykiwaliśmy głośno "moje aniołki" (w czym znakomicie przewodził nam Adaś Muszyński) właśnie w momencie, gdy p. Petri docierała do Bursy. Cisza panowała odtąd na lekcjach polskiego i przestaliśmy być faworytami opiekunki klasy.

Dr Józef Kasian wtajemniczał nas wówczas w misteria świata grecko-rzymskiego, Antoni Ekstein uczył geografii, Mieczysław Mossoczy matematyki, Irena Kaczanowska j. francuskiego, a j. niemieckiego - Stefania Tokarykowa. (Jeden z tych języków - do wyboru - był obowiązkowy). Łaciny uczył znakomity, ale wzbudzający i respekt, i strach (jako perfekcjonista) Włodzimierz Przygodzki, którego pince-nez pobłyskiwał jakoś "groźnie" w promieniach słońca. Przyrody - w gabinecie na I. piętrze - uczył nas małżonek naszej opiekunki, Mieczysław Petri, a j. ruskiego - Jan Wargocki. Prefektem gimnazjum był ks. Paweł Boczar, który wykładał w naszej klasie historię Kościoła.

Józef Opacki, nauczyciel gimnastyki, na którą raz w tygodniu wędrowaliśmy do gmachu "Sokoła" (dziewczeta miały salę gimnastyczną i boisko w Bursie), był wielbicielem Podola i jego folkloru. Od czasu do czasu organizował nam wyprawy w teren. W pamięci pozostała taka właśnie wycieczka, w piękny wiosenny dzień, do Uhrynia i jego jaskiń. Odbywaliśmy również krótkie wycieczki przyrodnicze z p. Petri do lasków w pobliżu góry Bergmana, gdzie pobieraliśmy z małych sadzawek próbki, oglądane później pod mikroskopem w pracowni przyrodniczej.

Ten właśnie okres w klasie I a był świadkiem początku mojej, krótkotrwałej niestety, kariery aktorskiej. Któregoś dnia prof. Stanisław Krwawicz - "łacinnik" i reżyser szkolnych przedstawień, zaproponował mi rolę młodego bohatera w "Antygonie" Sofoklesa. Z wielkim entuzjazmem zabrałem się do studiowania tekstu. Wkrótce po tym profesor zjawił się z zaskakującym pytaniem: "Ile ważysz?". Moja waga przekraczała niestety możliwości fizyczne młodych "tragarzy" ciała bohatera, który opuszczając ten świat musiał zostać wyniesiony ze sceny i moja rola przypadła komuś lżejszemu. Któż może wiedzieć, czy Scena Polska nie poniosła wówczas niepowetowanej straty?

"Mogiłki", góra Bergmana, jar w okolicy szpitala, pola rozciągające się w kierunku wsi

gimnazjum ukraińskiego, przy ul. Parkowej 1. I jak to się ma do "jeremiad" mniejszości ukraińskiej na temat dyskryminacji Ukraińców w szkolnictwie międzywojennej Polski? (przyp. red.).

Białej - to były miejsca moich zimowych wyczynów narciarskich ze Zdzisławem Traczewskim i innymi kolegami szkolnymi. A w lecie - dalekie jazdy na rowerach w kierunku Kopyczyniec i Borszczowa, kajakowanie "Grottem" (zwanym przez nas "Gratem") Jurka Wnuka z przystani LMK przy moście kolejowym (z Zenkiem i Tadeuszem Zatońskimi) do Białej - po mleko kupowane u miejscowych gospodyń. A także niekończące się mecze siatkówki.

W II. klasie przeprowadzka do głównego budynku gimnazjum i małe zmiany personalne. Naukę historii Polski objął dyrektor, Władysław Cichocki. Przez krótki czas brałem wtedy udział w popołudniowych, nadobowiązkowych lekcjach rysunku. Atrakcja wolnych a pięknych wiosennych popołudni zwyciężyła jednak moje artystyczne aspiracje.

Stare, stosunkowo małe i nieco ciemne sale szkolne w głównym gmachu, nie dawały dobrego samopoczucia, a niemożność wyjścia w zimie na dziedziniec w przerwach międzylekcyjnych i chodzenie parami po ciasnych korytarzach, nie należało do przyjemności. Tu jednak po raz pierwszy spotkałem "legendarnego" tercjana - p. Tadeusza Rogowskiego⁴, który na pytania w formie: "Kto był obecny na akademii?" - odpowiadał nieodmiennie: "Ja, pan dyrektor i inni".

W tym właśnie roku Polska Akademia Umiejętności wprowadziła, po długich deliberacjach, małe zmiany w ortografii. Każda sala szkolna została wyposażona w kartonową, oszkloną tablicę z listą wprowadzonych zmian. Prof. Petri, tłumacząc nam w imieniu swojej żony na czym owe zmiany polegają, przestrzegał surowo przed uszkodzeniem tego nowego nabytku szkoły. W parę dni później wieszałem (jako dyżurny) mapę na stojaku w kształcie litery T przed lekcją geografii. Wpadł nagle któryś z kolegów twierdząc, że do niego należał ten obowiązek. Broniąc mego przywileju "oficjalnego" dyżurnego, odpychałem napastnika. W czasie szamotania poprzeczka litery "T" weszła w bezpośredni kontakt z centrum oszklonego dzieła PAU. Kosztowało mnie to 2.- zł z moich kieszonkowych dochodów, sumę tak kolosalną, że epizod ten zachował się w mojej pamięci do dziś.

Część, zabłoconego zwykle, placu targowego została przeznaczona na budowę Domu Legionowo-Strzeleckiego, w którym miało się znaleźć pomieszczenie tak bardzo potrzebne w mieście "nowoczesne" kino. W początkowym stadium sala kinowa posiadała zwykłe ławki bez oparcia, później "awansowała" do normalnych, choć nie nowych krzeseł. Kino oczywiście stało się wielką atrakcją, a ponieważ indywidualna obecność na seansach musiała być sankcjonowana przez dyrektora Cichockiego, więc inspekcja tablicy ogłoszeń gimnazjalnych z afiszem kinowym i pieczętą "zezwałam", stała się rzeczą automatyczną. Raczej rzadkie były wypadki zakazu obejrzenia filmu, ale tym bardziej spekulowaliśmy na temat jego treści.

Niewiele było rozrywek specjalnie organizowanych, i dlatego zapisały się w pamięci te stosunkowo rzadkie atrakcje, jak np. "Wianki" na Serecie w czerwcową noc świętojańską,

⁴ W Sprawozdaniu Dyrekcji Prywatnego Gimnazjum im. J. Słowackiego w Czortkowie za rok szkol. 1913/1914 odnotowano, że p. Tadeusz Rogowski już w tamtych latach był tercjanem w tej szkole. Więc zwrot "Ja, pan dyrektor i inni" jest może "historycznie" uzasadniony?

Trzeba nam, b. uczniom czortkowskiego gimnazjum wiedzieć, że pan Tadeusz był ojcem znanego lwowskiego poety - Stanisława Rogowskiego - zamordowanego w Oświęcimiu w grudniu 1940 r.; urna z prochami poety znajduje się na warszawskich Powązkach. Szerzej o S. Rogowskim w "Głosach" nr 10/1995, s. 30 (przyj. red.).

albo popisy hipiczne czy “harce rycerskie” szwadronu kawalerii KOP, na niewielkim błoniu w pobliżu przystani LMK. A któżby mógł zapomnieć o nieplanowanej sensacji jaką sprawił pociąg towarowy, którego hamulce zawiodły, i którego wagony toczyły się aż z Białej Czortkowskiej i wykoleiły się w Czortkowie - na zakręcie przed mostem kolejowym?

W roku 1938 znaleźliśmy się ponownie w Bursie, tym razem w klasie III. Ten złoty wrzesień był pod znakiem Zaolzia. Były więc wiece i przemówienia, i młodzież gimnazjalna brała udział w demonstracjach, domagając się powrotu Zaolzia do Macierzy. Jedną z nich był pochód z pochodniami (o zmroku), spod gmachów Starostwa i Sądu, gdzie śpiewano hymn narodowy i Pierwszą Brygadę.

Rok szkolny 1938/1939 przebiegał normalnie i bez wielkich zmian. Pojawił się nowy nauczyciel - prof. Żak, który w mojej klasie zastąpił prof. Przygodzkiego. 3 marca klasa ustaliła w “demokratycznych” wyborach skład delegacji (Mała Bolinówna, Irka Rudeńska, Tadzik Oktawiec i ja), która miała złożyć życzenia imieninowe p. Kazimierze Petri (wówczas na urlopie macierzyńskim). Wybraliśmy się z wizytą do państwa Petri i zadanie wykonaliśmy.

Pewnego majowego dnia 1939 r., gdy w Bursie odbywał się egzamin maturalny⁵ wybraliśmy się małą grupką - Zdzisław Traczewski, Ryszard Włostowski⁶ i ja na wysoką skarpe przy drodze do Kopyczyniec. Spędziliśmy tam parę godzin siedząc na olbrzymim głazie, rozkoszując się pięknym widokiem miasta, Seretu wijącego się w jarze, “naszej” Bursy i pól rozciągających się daleko aż po horyzont. Po raz pierwszy chyba rozmawialiśmy poważnie o przyszłości “po szkolnej”. Ani na chwilę nie pojawiła się myśl, że huragan dziejowy, formujący się tuż za widnokregiem, zmiecie niebawem na zawsze nasze plany i marzenia, stwarzając jakże inną przyszłość ...

Jadwiga Podleska
Gliwice

Post scriptum do cz.I⁷

Nie żyje niestety już nikt z włościan - byłych mieszkańców Czernelowa Mazowieckiego, który mógłby opisać historię tej patriotycznej wsi polskiej tak, jak to czytam w “Głosach Podolan” o Stryjówce.

Jako córka właściciela majątku ziemskiego Czernelów Mazowiecki, urodzona w 1920 roku we Lwowie, większość swych młodych lat przeżyłam w lwowskich szkołach. W Czernelowie mieszkalam w dzieciństwie, a później bywałam podczas ferii świątecznych i letnich wakacji. Moje wspomnienia nie będą więc tym, czym byłoby opowiadanie czernelowieckich gospodarzy wiejskich. Nie chcę jednak ograniczać swoich relacji jedynie do historii tego ważnego fragmentu, jakim była w Czernelowie Maz. znakomita placówka

⁵ Była to tzw. “Mała matura” - egzamin kwalifikujący do nauki w liceum o kierunku humanistycznym lub matematyczno-fizycznym, po ukończeniu czterech klas gimnazjum. “Duża” matura odbywała się (za “naszych czasów”) zawsze w gmachu głównym szkoły (przyp. red.).

⁶ Ryszard Włostowski - kpr. pchor. AK, zamordowany w 1944 r. w obozie koncentracyjnym w Stutthofie (przyp. aut.)

⁷ Cz. I w nr 20/97 “Głosów Podolan”.

Armii Krajowej, a zarazem samoobrony polskiej przed UPA.

Z dziejów wsi sprzed pierwszej wojny światowej znany mi jest fakt, że na przepływającej przez Czernielów rzece Gnieźnie znajdowała się przez pewien czas linia frontu między Rosją a Mocarstwami Centralnymi. W związku z tym mieszkańców zachodniej części wsi ewakuowały wojska Niemieckie, dając na to ludziom ... 15 minut czasu. Gdy wojska zaborcze opuszczały tę ziemię w 1918 roku - spalono i zrównano z ziemią Czernielów Mazowiecki, pozostawiając nietknięty Czernielów Ruski, jako wieś sprzymierzoną z Austrią i Niemcami. Mieszkańcy polskiej wsi zaczęli swoje życie po powrocie od zamieszkania w ziemiankach.

Ówczesny proboszcz tej siedmio- czy ośmiowioskowej parafii Czernielów Maz. - ks. Rynkiewicz, opiekował się bardzo przykładowie swoimi parafianami nie tylko pod względem religijnym. Uczył ich także higieny oraz estetycznego utrzymywania domostw i zagród. Niebawem przy każdej chacie zakwitły kwiaty (zwłaszcza malwy) a obejścia były schłodnie utrzymywane.

Zaprzyjaźniony z moimi rodzicami kolejny proboszcz, ks. kanonik Paweł Cielecki, działał również społecznie. Współpracował z nauczycielstwem (szkoła była 5-letnia), z sołtysiem i z moim Ojcem. Zorganizował dobry chór kościelny, którym kierował przezacny gospodarz Franciszek Bachalski. Biedniejszym mieszkańcom (było ich trochę w zamożnej na ogół wsi) udzielał ślubów gratis, a bywało, że użyczał młodożęńcom pomocy w zagospodarowaniu się z własnej, niebogatej szkatuły. Był człowiekiem wysoce wykształconym, a probostwo na wsi objął z uwagi na słabe zdrowie.

Pamiętam że w tej wsi, pięknie położonej na falistym terenie Podola, działały w latach 30-tych: "Strzelec" i Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. W Domu Ludowym odbywały się z okazji świąt narodowych amatorskie przedstawienia. Reżyserował je malarz z Tarnopola, pan Orwicz, który dla tutejszego kościoła parafialnego wykonał kopię obrazu Madonny Murilla. W rocznicę 3 Maja występowała zawsze banderia konna w strojach krakowskich. Wystąpiła również podczas wizytacji parafii przez arcybiskupa Lwowskiej Metropolii - ks. Bolesława Twardowskiego.

Książki dla czytelników we wsi wypożyczano z biblioteki Towarzystwa Szkoły Ludowej w Tarnopolu, nad czym czuwała moja Matka. Założyła też we wsi Koło Gopodyń Wiejskich, dzięki czemu zaczęto uprawiać różne warzywa, w tym pomidory - w owym czasie ogromna rzadkość w wiejskich ogrodach.

Chat pokrytych tradycyjną strzechą było już we wsi niewiele; większość domów posiadało dach blaszany. Ziemia była żyzna - słynny podolski, tłusty czarnoziem. Niektórzy włościanie emigrowali na jakiś czas do Ameryki lub do Francji na zarobek, skąd wracali z pieniędzmi i dokupywali ziemi. Prócz pewnej znajomości języka, przywozili niekiedy także wyuczoną znajomość rzemiosła, jak np. Michał Słoboda (technik-elektryk-młynarz). Jeśli mowa o awansie społecznym, to jeden z mieszkańców polskiego Czernielowa został starostą powiatowym (Michał Murmyło), a inny ukończył prawo (Rojowski).

Na 3600 mieszkańców Czernielowa Maz. (dane z ksiąg parafialnych z 1940 r.) mieszkało tu tylko 5 rodzin ukraińskich (mieli przekonania nacjonalistyczne i prohitlerowskie). Danyło Jacykowski wybrany został przez władze sowieckie we wrześniu 1939 r. "hołową silrady", i tę funkcję sołtysa sprawował nadal podczas niemieckiej okupacji, aż do marca 1944 r. Po ponownym wejściu Armii Czerwonej został oskarżony o współpracę z Niemcami i aresztowany; zmarł na serce w drodze do więzienia w Zbarażu.

Nie potrafię podać czy, i ilu ludzi zostało ze wsi wywiezionych. W roku 1940 masowych wywózek do ZSRR u nas nie było. Podczas okupacji niemieckiej wysłano trochę młodych ludzi do przymusowej pracy w Rzeszy.

Majątki ziemskie zostały upaństwowione. Jako wysoce uprzemysłowiony (elektrownia we młynie, gorzelnia, uprawy kontraktowe itp.) Czernielów Mazowiecki był administracją

obejmującą osiem majątków, administrator bronił więc wszelkimi sposobami siły roboczej przed wysyłką do Niemiec. Musiały wszak być dostarczone w terminie "kontyngenty" czyli obowiązkowe dostawy zbóż, mąki, okopowych, wódki, żywca itp. dla wojska i władz niemieckich.

Wieś nasza była dość zamożna, a ludzie inteligentni i pracowici. O ich patriotyzmie świadczyła doskonale zorganizowana placówka AK.

Ponowne wkroczenie w 1944 r. żołnierzy sowieckich zapobiegło planowanemu napadowi banderowców na polski Czernielów. Spirytus natomiast zapobiegł gwałtom na kobietach. "Czerwonoomarmiejcy" bowiem ujrawszy gorzelnię, rzucili się na alkohol, (którego Niemcy nie zdążyli w gorzelni odebrać). Pili go wiadrami; pięciu padło trupem na miejscu, inni przewracali się błoto, ponieważ pili na puste żołądki. Tym, którzy jeszcze trzymali się jakoś na nogach, podawali spirytus sami gospodarze, chroniąc w ten sposób swoje kobiety, a przy okazji sami zaopatrywali się w tę najcenniejszą wówczas walutę.

Nazajutrz kwaterę we wsi zajął gen. Rybalko, ten sam, który w rok później wypędzał Niemców z Gliwic. W domu, w którym mieszkał, nakazał kobietom meldować sobie wszelkie próby napastowania.

Wysiedlanie Polaków na zachodnie ziemie Polski zaczęło się u nas późną wiosną 1945 r. Pierwszy transport Czernielowian pojechał na Pomorze Zachodnie, i nikogo już stamtąd nie spotkałam. Drugi transport skierowano na Ziemię Lubuską w okolice Sulęcina, trzeci do woj. wrocławskiego, w okolice Trzebnicy. Rozbicie tej wielkiej wsi na trzy różne miejsca osiedlenia miało także wpływ na to, że nie znajdę już nikogo, kto dzieje Czernielowa Mazowieckiego opisałby dokładniej i od innej strony.

W niedokończonych pamiętnikach mego Ojca wyrażona jest gorąca wdzięczność wobec pracowników folwarku i ogrodu, jak również gospodarzy we wsi, którzy podczas obu okupacji spieszyli moim Rodzicom, mieszkającym wtedy w mieście, z bezinteresowną pomocą żywnościową. Okazali nam wiele serca i zadali sobie wiele trudu. Np. Michał Koszuliński i stelmach Józef Gardziasz zabili jesienią 1943 r. (nielegalnie) świnie, i zawieźli wyroby mojej siostry, żonie oficera, aż do Stanisławowa.

Wśród zacnych ludzi muszę wymienić też Józia Świdarza (zam. Zacierka), przygarniętą przez moją Matkę sierotę, która przez całą wojnę była dla Matki, i drugiej naszej Staruszki, jak najlepsza córka, "Gdyby panie wywozili - mówiła - pojedę z paniami". Na szczęście do tego nie doszło.

Przywołuję w pamięci też inne osoby: Michała i Michalinę Koszulińskich (ona pracowała we dworze jako kucharka), Jana Hrycaja, Jana Maśluka, Franciszka Niedojadło, Bartka Maśluka (służącego i przyjaciela domu), Pawła i Juliusza Maśluków, Karola Rajfura (gumiennego), Laka, Smólskich, Żarkowskich i innych, których nazwisk nie pamiętam. No, i Franciszkowie Bachalscy, u których zamieszkałyśmy pod koniec wojny. Jedną z mych nian była niezapomniana Marysia Zgóra, zwana przez nas "Zgórystą". Wszyscy oni już nie żyją.

Relacje między dworem a wsią były zawsze dobre. Po wojnie rodzice, jedna z moich siostr i ja zdołaliśmy odwiedzić Czernielowian osiadłych na Ziemi Lubuskiej i we Wrocławsku.

Wielkie uznanie należy się dwom, dawno zmarłym, pracownikom: ogrodnikowi Dominikowi Masztalerzowi i stelmachowi Józefowi Gardziaszowi (ten drugi rodem z Kołodziejówki w pow. Skałat). Zdołali oni zachować w dobrej kryjówce wojskowy aparat podsłuchowy do linii telefonicznych, który latem 1943 r. zawiozłam do Inspektoratu AK w Tarnopolu.

Dodam jeszcze, że męski strój ludowy Czernielowian - to były "sukmany" z białego płótna, z fałdami od pasa i czarne kapelusze. Zimą - tak kobiety, jak i mężczyźni nosili białe kozuchy, także marszczone w pasie, z szerokimi kołnierzami z czarnych lub brązowych owiec. W okresie międzywojennym kobiety nie nosiły już na głowie pięknych zawojów, ale

chustki - latem kolorowe w kwiatki, zimą jednobarwne wełniane.

Kończąc ten bardzo niekompletny opis muszę podkreślić, że mieszkańcy Czernielowa Mazowieckiego pozostali w mojej pamięci jako dobrzy Polacy, silnie związani z kościołem katolickim. W całej wsi komunistą był tylko jeden Polak. Ogromna większość - to zaci i pracowici ludzie. Młodsze pokolenia przenieśli się przeważnie do miast.

Żal wielki, że nie żyje już nikt, kto mógłby o tej polskiej wsi podolskiej napisać więcej i lepiej.

LISTA OFIARODAWCÓW

(na działalność związaną z wydawaniem biuletynu)

| | | |
|--------------------------|----------|----------|
| 1. Halina Major | Gliwice | 2.00 zł |
| 2. Robert Szczerkawski | Wrocław | 10.00 zł |
| 3. Kazimierz Straszewski | Warszawa | 3.00 zł |
| 4. Lesław Szozda | Warszawa | 2.00 zł |
| 5. Krystyna Węclawska | Warszawa | 2.00 zł |
| 6. Ryszard Derkacz | Warszawa | 5.00 zł |
| 7. Józef Franczyszyn | Warszawa | 10.00 zł |

SPIS TREŚCI

KRESOWE WSPOMNIENIA

| | |
|--|----|
| Ewa POPIEL-BARCZYKOWA | |
| Migawki ze Skałackiego dzieciństwa | 1 |
| Bolesław ŁUKASIEWICZ | |
| Wspomnienia ze Stryjówki. Cz. IX..... | 6 |
| Józef K. PAYGERT | |
| Wspomnienia. (Część ostatnia) | 11 |
| Ks. Kazimierz SŁUCZAN-ORKUSZ | |
| Wspomnienia Podolaka. Cz. II. | 15 |
| Dr Tadeusz BŁAŻYŃSKI | |
| Szkolne migawki z Czortkowa | 20 |
| Jadwiga PODLESKA | |
| Post scriptum do cz. I. | 23 |
| LISTA OFIARODAWCÓW | 26 |